

sportowiec

budo²

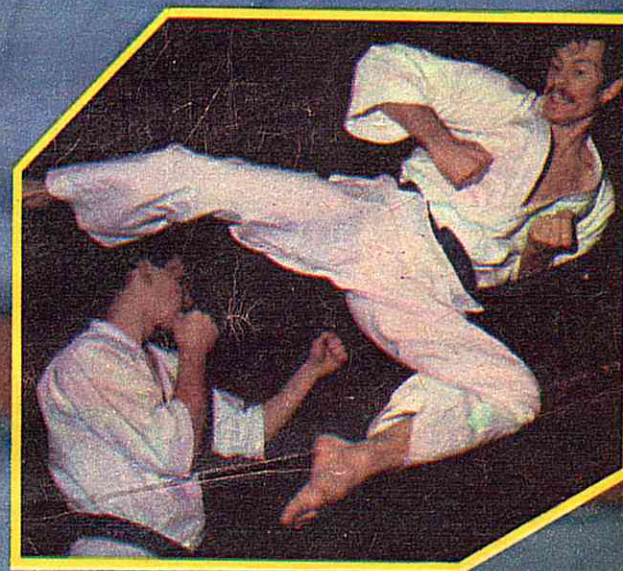
● MARZEC ● 1986 ● CENA 100 ZŁ ●

**PIOTR
SIEGOCZYŃSKI**

(mistrz świata)

**MAREK
DROŹDŹOWSKI**

(mistrz Europy)





Karatecy sprawili nam w ostatnim kwartale kilka wspaniałych niespodzianek. Jedną z największych było zdobycie tytułu mistrza świata amatorów w kick-boxingu (semi-kontakt) przez Piotra Siegoczyńskiego, z klubu AZS-ZSP Politechnika Warszawska. Na zdjęciu Siegoczyński w zwycięskiej walce półfinałowej z Włochem Walde.

Zdjęcie CAF



Marek Drożdżowski mistrzem Europy w kyokushinie! Któż by się tego spodziewał? Polacy spisali się na macie w Barcelonie wprost rewelacyjnie, srebro wywalczył bowiem jeszcze Marek Gwiżdż. Słynny Japończyk Oyama wręczając Polakom medale nie ukrywał podziwu...

Zdjęcie MAJA SOKOŁOWSKA-MICHALSKA

W Poznaniu odbyły się V mistrzostwa Polski w karate sportowym WUKO. Dominowali przedstawiciele shotokanu. Na naszych zdjęciach: mistrz kategorii „open” Marucha w finałowej walce ze Standowiczem, Ewa Łapanowska, która po raz drugi zwyciężyła w „kata” kobiet. Na podium triumfatorzy kategorii do 70 kg. Od lewej: B. Kapusta, A.

Zaleśny, K. Gozdek i Z. Baszak oraz zwycięska drużyna AZS UW, która wygrała „kumite” zespołowe, drugi z lewej jej trener i kapitan Paweł Rafalski.

Zdjęcia: MAJA SOKOŁOWSKA-MICHALSKA, KAZIMIERZ LASKOWICZ





Pięknie wypadł start młodych judoków w mistrzostwach Europy juniorów. **Rafał Ku-backi** z wrocławskiej Gwardii zdobył złoty medal, **Marek Świątek** był trzeci. Na zdjęciu mistrz Europy słucha rad swego trenera klubowego **Stanisława Siewiora**.
Zdjęcie **TADEUSZ SZWED**



Zdjęcia CAF i ADAM HAWAŁEJ



Puchar Polski w judo zdobyła drużyna GKS Wybrzeże. Zespół **Ryszarda Zieniawy** pokonał w finale poznańską Olimpię 5:2. Na zdjęciu walka w kategorii 71 kg, pomiędzy **Januszem Pawłowskim**, z lewej, i poznanianinem **Januszem Biegańskim**.

Drugi Turniej im. **Tomasza Świtoniaka** rozegrany w Łodzi wygrał ponownie **Piotr Czapla** z Warszawy. Najlepszymu w Polsce kendoce nagrodę wręcza ojciec przedwcześnie zmarłego Tomka. Zawody miały międzynarodową obsadę, o czym piszemy w rubryce „Skośnym okiem”.

Zdjęcie **K. LASKOWICZ**

sportowiec² budo

WYDANIE SPECJALNE MAGAZYNU „SPORTOWIEC”

KARATE

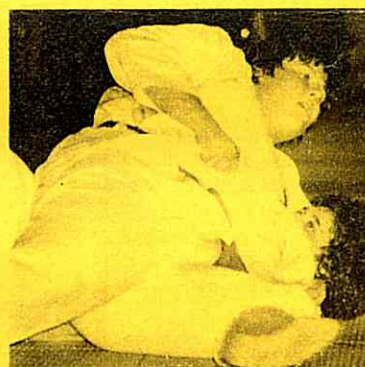
4-14



- Arena wzięta
- Bractwo krokodyla
- Nasz kodeks
- Moje karate
- Bokser elektroniczny
- Widziałem Chunga
- Przepraszam że wygrałem
- Higa demaskuje

15-20

JUDO

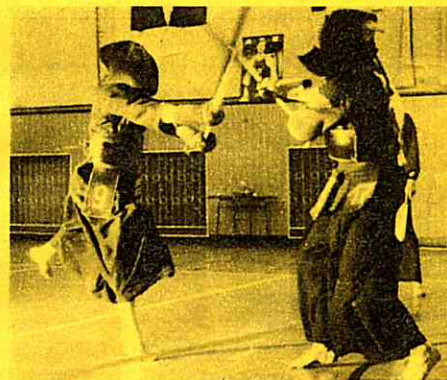


- Rafał jak Yamashita
- Emancypantki
- Antoni Reiter
- Od Tomity do Shoriki
- Kącik szkoleniowy

20-21 SAMBO

22-23

SKOŚNYM OKIEM



Piękna hala „Areny” w Poznaniu. Akademicy z Uniwersytetu Warszawskiego rozgrzewają ostrygłe mięśnie, szykują się do kolejnego meczu. Lekko pochyleni do przodu, w kole, ćwiczą techniki tsuki, uchi, geri. Powoli, potem coraz szybciej. Wreszcie robią „młyn”, przejdą do przodu akcentują głośnym „ishi” ... ruszają do walki.

W kumite drużynowym rozgrywanym po raz pierwszy w historii mistrzostw, większość walk przebiegała bez niepodzianek. Nie zachwyciły poziomem ani też umiejętnościami technicznymi samych zawodników. Brakowało silnej konkurencji, chociaż u postronnego obserwatora pogląd na sprawę mógł z trybun wyglądać nieco inaczej. Rywalizowało bowiem 16 zespołów i już sama liczba powinna określać jakość. A tymczasem wcale tak się nie stało.

Dwie tylko drużyny nie zawiodły oczekiwań i dostarczyły trochę emocji. Były to AZS UW i Łódzki Klub Karate. Taki finał zakładano od początku zawodów. O sile drużyny stanowi jej zawodnicy, ale o zwycięstwie decyduje także taktyka kapitana. W planowaniu walk, ich kolejności i sposobie prowadzenia odznaczał się warszawiacy zdecydowanie.

Najpierw zmierzili się z KS Zagłębianka z Dąbrowy Górniczej. Trzy pierwsze walki pewnie wygrali do zera. Kolejne dwie – poddali. Nie marnowali w ten sposób sił, unikali przypadkowych kontuzji i uderzeń. Przepisy dopuszczały taką kalkulację w eliminacjach. Ale o miejsce na podium – trzeba już było walczyć do końca. Drużyny Opola, Wrocławia i Szczecina warszawiacy pokonali bez większych problemów. Żadna z nich nie przeszkodziła im w drodze do finału. Rywale gubili się, walczyli szablonoowo i bez wiary w sukces. A przy tym – wykazywali spore braki w technice. Różnice w poziomie były znaczne.

Próbowali popsuć im szyki łodzianie. Ale i ta konfrontacja wypadła pomyślniej dla AZS. Zawodnicy ŁKK walczyli ostrożnie, zbyt asekuracyjnie. Atakowali przeważnie z kontry. Rzadko, ale groźnie. Próbowali narzucić taki, wygodny dla siebie, styl walki i to ich zgubiło. Warszawiacy – przeciwnie. Preferowali śmiałe ataki, urozmaicone gamą technik ze szkół Shoto-ryu, i Wado-ryu. Gdy prowadzili 2:1 zwycięstwo przypieczętował sam kapitan drużyny, Paweł Rafalski (2 Dan). Czterokrotny mistrz Polski zaprezentował umiejętności, jakie zawsze z przyjemnością się ogląda. Dobrą pracę rąk i nóg, miękkie podcięcia, szybkie uniki. Dynamiczne zmiany tempa pojedynku i techniczne „sztuczki”. Nic też dziwnego, że właśnie jego walka z J. Wierzbickim zaliczała się do najładniejszych w turnieju. Paweł Rafalski szczególnie cieszył się ze złotego medalu drużyny.

– Przyjąłem zasadę, która tu na mistrzostwach się sprawdziła. Na początku typowałem do walki zawsze dwóch dobrych zawodników. Kolejne punkty dla drużyny próbowałem zdobyć średniej klasy koledzy, i na koniec znów rzucaliśmy do gry silną kartę. Taka taktyka zdała egzamin.

Kolejny start Rafalskiego w mistrzostwach stoi pod znakiem zapytania. Szef wyszkolenia PZKarate więcej uwagi i czasu chce poświęcić pracy z młodzieżą.

Kumite drużynowe – wbrew pozorom – nie jest łatwą walką, bowiem los pozornie sterowany przez kapitanów kieruje, kto z kim ma się spotkać. I na ogół bywa tak, że lepszy zawodnik trafia na cięższego. Sędziowie uważają, że szanse walczącej piątki rozkładają się równomiernie. Zwycięstwo zależy od prowadzonej taktyki kapitana, a ta od umiejętności samych zawodników. „Rafalski zrobił to na piątkę” – powiedział sędzia główny zawodów, Jan Sikora. A głos tego pana – to naprawdę fachowa opinia.

W kumite indywidualnym walki przebiegały pod dyktando starych mistrzów. Udowodnili, że są aktywni, liczą się w czołówce i stać ich jeszcze długo na zwycięstwa. Tak było między innymi w przypadku M. Wawrzyniaka (1 Dan) z PKK i A. Spanopulosa (1 Dan) z Łódzkiego AKK. Ten pierwszy w kat. 50 kg już po raz trzeci z rzędu stanął na najwyższym podium. Natomiast wychowankowi Wł. Kwiecińskiego w kategorii wagowej o stopień wyżej, sztuka ta udała się – jak dotąd – dwukrotnie.

Warszawiacy do drużynowego zwycięstwa dorzucili dwa złote, tyle samo srebrnych i jeden brązowy medal. Wyrażnie powetowali sobie straty po ubiegłorocznych niepowodzeniach w Gdańsku. Pamiętamy jak wtedy po przegranej Rafalskiego z Kokoszką (ŁKK) i jego dyskwalifikacji za zbyt „mocne” techniki w kat. open z A. Spanopulosem – chcieli już pakować walizki. W Poznaniu – karta się odwróciła do tego stopnia, że np. w kategorii 70 kg finał pomiędzy B. Kapustą a A. Zalesnym stał się tylko wewnętrzną sprawą akademików. Jedyne w wadze +80 kg A. Szczepny prze-



Arena

grał „złoto” z wielokrotnym reprezentantem kraju K. Skulskim (1 Dan) z Gdańskiego KK. Zatem do domu powracali pełni wrażeń. Bogatsi w doświadczenia i trofea.

Z jak najlepszej strony pokazali się dwaj juniorzy. A. Zalesny AZS UW, o którym mowa wyżej i A. Goliszewski z Elbląskiego KK. Na tegorocznych planszach wyrobili sobie niezłą markę.

Odnalazł też formę jeden z najlepszych w historii polskiego karate, 27-letni przedstawiciel gospodarzy Waldemar Nogalski (3 Dan). W poprzednim roku przeżywał pewien kryzys. Tym razem, wygrał w dobrym stylu koronną swą kategorię wagową z A. Trojanowskim (1 Dan), AZS AR Wrocław. Jego udział w kolejnych mistrzostwach jak sam powiedział jest niepewny, bowiem W. Nogalski zamierza pójść w ślady Rafalskiego. Tylko pogratulować.

Były to już piąte mistrzostwa Polski. Niezależnie od intencji samych zawodów, trudno je było nazwać wszechstyłowymi, gdyż zbyt wyraźnie zarysowała się dominacja przedstawicieli Shotokanu. Kolegów z Kyuokushinkai można było policzyć na palcach jednej ręki. Rzadko kiedy uczestniczą w takich zawodach. Organizują oddzielne mistrzostwa i turnieje. Mają inaczej opracowane przepisy walk, nie chcą narazić się na zarzuty „niewyhamowania” uderzeń.

Jako wykładnię przyjęto przepisy WUKO (World Union Karate-do Organization) – Światowa Unia Organizacji Karate, dzięki czemu po raz pierwszy, zawody w swej formie i organizacji przypominały imprezę w wydaniu międzynarodowym. Wprowadzono obowiązkowe napiętniki (ochraniające na ręce). Ustalono też dolną granicę wieku startu. W Kumite – 18 lat, w Kata 16. A prawo udziału zapewnili

POLSKI SENIORÓW W KARATE



wzięta

sobie ci, którzy posiadali odpowiedni stopień (3 Kyu), „sztywną” kartę przynależność do klubu i badania lekarskie. Walki wąskiego finału trwały 3 min. W eliminacjach – skrócono je do dwóch. I wcale z tego powodu nie zabrakło emocji. Startowało bowiem 203 zawodników i zawodniczek z 24 klubów – co jest swego rodzaju rekordem. W porównaniu z liczbą ćwiczących karate w klubach (ok. 20 tys., drugie tyle w TKKF), dane te mogą komuś wydawać się kroplą w morzu, ale wyżej wymienione warunki zaostriżyły kryteria udziału. Poprzeczkę uniesiono nieco wyżej. I słusznie.

Wacław Antoniak (3 Dan) miał uśmiechniętą twarz. Wszędzie go było pełno, mimo że tym razem przyjechał do Poznania tylko jako prezes związku i sędzia, a nie brał udziału w pokazach KATA:

– Cieszy mnie fakt tak liczego udziału młodzieży. Karate

powoli, ale zasłużenie zdobywa uznanie w opinii naszego społeczeństwa, dotychczas nastawionego raczej wrogo. Podnieśliśmy wymogi udziału w zawodach. Kto wie, może za rok będą jeszcze wyższe. Na świecie nasi rywale poszli mocno do przodu i musimy szybciej ich gonić.

Rok temu środowisko karateckie poniosło dotkliwą stratę. Na zawsze odszedł zasłużony trener i wychowawca młodzieży – Aleksander Pływowski z Elbląskiego KK. Miał tylko 32 lata. Minutą ciszy uczczono jego pamięć. Umiłkły odgłosy walk. Wszyscy powstałi z miejsc. Po chwili... zawody potoczyły się normalnym rytmem, a na planszę weszły panie prezentując indywidualnie KATA.

Ewa Łapanowska, trenująca od trzech zaledwie lat pod kierunkiem J. Mejera, jest uczennicą II klasy VI LO w Gdyni. Jeszcze rok temu w Gdańsku legitymowała się drugim

Kyu. W Poznaniu wystąpiła już z 1 Danem. Widać n marnowała czasu i trenowała solidnie. Co też można by zauważyć na podstawie wykonania KATA EMPI BASAI DA. Swoją program przedstawiła bez najmniejszej pomyłki. A przy tym, bardzo dobrze technicznie i ekspresyjnie. Nic dziwnego, że raz jeszcze zatriumfowała. Jest młoda i już teraz otwierają się przed nią szanse potwierdzenia swego talentu na międzynarodowej arenie. Nie brak jej też urod kobiecego wdzięku i gdyby ogłoszono konkurs na Miś Foto – na pewno zdobyłaby i tę nagrodę. „Srebro” przypadło Grażynie Ciach (AZS Szczecin). Śmiało rywalizowała z Łapanowską przegrywając różnicą... 0,2 pkt.

Bardzo pasjonująco wypadła rywalizacja w KATA mężczyzn. O pierwsze miejsce walczył obrońca tytułu Sławomir Jordan z AKK (2 Dan) i wicemistrz z Gdańska – Waldemar Nogalski. Już czwarty raz z rzędu łódzki karateka wygrał ten pojedynek. Za KATA UNSU otrzymał 43,2 pkt. Jordan swą perfekcją i czystością techniki przypomina mistrza świata Osakę (5 Dan), a Nogalski temperamentem i wolą walki wicemistrza Yaharę (5 Dan). Zdaniem wielu obserwatorów za KATA UNSU przedstawiciel Poznania powinien otrzymać znacznie wyższe noty. Mówiono nawet, że sędziowie skrzywdzili go. Nie jest to jednak prawdą, bowiem mimo to w finale swój układ wykonywał znakomicie, w ostatniej ukladzie zmienił położenie rąk w stosunku do płaszczyzny ciała. Po prostu się pomylił. A to już poważny błąd, którego zresztą sam przyznał się zaraz po występie.

Niepowodzenia w KATA indywidualnym powetowali sobie poznaniacy w KATA drużynowym. Spośród 11 startujących zespołów ich zespół zasłużył na miano najlepszego. A pracowała na ten sukces trójka aktorów: P. Lisewski, W. Nogalski i M. Kossakowski. I chyba ten akcent był najszlachetniejszym momentem dla sympatycznych gospodarzy zawodów.

Największym zainteresowaniem cieszyła się zawsze ciekawa konkurencja zawodów – walki w kategorii open. Tytuł mistrza nie zachwycił. Widzowie też się zawieci. Wielu dobrych zawodników zrezygnowało bez powodzenia. Drudzy odczuwali trud walki. Inni nie przejawiali zainteresowania. Pojedynek M. Maruchy (PAM) z A. Trojanowskim z Wrocławia (1 Dan) wypadł blado. Na twarzy obydwu zawodników znać było trudy całej imprezy. Akcje były chaotyczne i więcej demonstrowali szamotaniny niż czystych technik. Normalna runda nie dała żadnemu z nich zwycięstwa. Dopiero w dogrywce sędziowie zdecydowali o zwycięstwie Maruchy. Czy słusznie? A może o werdykt zdecydowały regionalne sentymenty?

Najlepszym technikiem zawodów uznany został W. Nogalski. Trenerem – R. Sworek z Poznańskiego KK. Gdy można było przyznać puchar dla najlepiej dotychczas zorganizowanych mistrzostw Polski z pewnością dostałby się Poznaniakom. Z tej ogromnie trudnej funkcji działacze PKK wywzali się znakomicie. Oby gospodarze kolejnych mistrzostw we Wrocławiu spisali się jak oni.

JANUSZ ARABCZY

Wyniki V MP

KOBIETY

KATA indywidualnie: 1. E. Łapanowska (KK Gdynia), 2. Ciach (AZS Szczecin), 3. Dziurka (ŁKK).

MĘŻCZYZNI

KATA indywidualnie: 1. S. Jordan (AKK Łódź), 2. Knapczyk (AZS Szczecin), 3. W. Nogalski (PKK).

KATA drużynowo: 1. PKK, 2. Geokart Szczecin, 3. AZS Wrocław.

KUMITE drużynowo: 1. AZS UW Warszawa, 2. ŁKK, AZS AR Wrocław i PAM AZS Szczecin.

KUMITE indywidualnie:

60 kg – 1. M. Wawrzyniak, 2. P. Przybylski (obaj PkKK), 3. Kuca (Elbląski KK) i M. Kowalczyk (AKK Łódź).

65 kg – 1. A. Spanopoulos (AKK), 2. M. Krochmalowski (A Łódź) i W. Szopa (ŁKK).

70 kg – 1. B. Kapusta, 2. A. Zalesny (obaj AZS UW), 3. Gozdek (AKK Szczecin).

75 kg – 1. Rafalski (AZS UW), 2. M. Kossakowski (PKK), W. Konieczny (KK Gdynia).

80 kg – 1. W. Nogalski (PKK), 2. A. Trojanowski (AZS Wrocław), 3. J. Jankowski (Zjednoczeni Bydgoszcz) i Ślągowski (EKK).

+80 kg – 1. K. Skuński (Gdyni KK), 2. A. Szczepny, 3. Toczyński (obaj AZS UW) i A. Gólszewski (EKK).

open – 1. H. Marucha (PAM AZS Szczecin), 2. A. Trojanowski (AZS AR Wrocław), 3. J. Borowski (PKK) i St. Kokosz (ŁKK).

dr ILJA JORGA z wizytą w POLSCE

W czasie kilkudniowego pobytu w Łodzi doktora Ilji Jorgi (6 Dan), legendarnego już dziś twórcy karate w Jugosławii, łącząc funkcję fotoreportera i tłumacza miałem możliwość bliższego przyjrzenia się temu karatece nr 1 w naszej części Europy. Z niemałym podziwem obserwowałem człowieka dziś 45-letniego, który zachował sprawność dwudziestoletniego komandosa. Dr Jorga jest człowiekiem pogodnym, z dużym poczuciem humoru. Nie zabrakło i takiej historii:

Na zaproszenie rządu Mali dr Jorga prowadził trening z trzystuosobową grupą miejscowych karateków – przyszłych członków ochrony rządu. Było przed wieczorem, słońce chyliło się ku zachodowi. Dla urozmaicenia treningu Jorga zdecydował się wprowadzić ćwiczących do rzeki, by tam wykonać serię tsuki i mae-geri. Podał odpowiednią komendę i wszedł do wody. Zorientował się, że tylko część osób poszła za nim i normalnie ćwiczy, a druga grupa dziwnie podekscytowana pozostała na brzegu. Sensej Jorga zignorował ten fakt, zignorował też i to, że coś się rusza w polu widzenia. Myślał, że może są to grzbiety ryb. Po wykonaniu zamierzonej ilości ćwiczeń wszyscy spotkali się na brzegu. Dopiero teraz dr Jorga dowiedział się,

że jego afrykańscy uczniowie dzielili się na „bractwo lwa” i „bractwo krokodyla”. Jedno za swych przyjaciół uznaje lwy, a boi się krokodyli i vice versa. W tym wypadku okazało się, że mimowolnie pan Jorga stał na czele „bractwa krokodyla”, a te „grzbiety ryb” to były właśnie krokodyle. Widocznie kiai było tak mocne, że i królowie tamtych wód woleli zachować dystans. Mój rozmówca bił się w piersi, że tak było naprawdę.

Ale, jak wspominałem, nie tylko anegdotalami zajmowaliśmy się w czasie wielogodzinnych rozmów. Oto fragment zapisanej na kasecie rozmowy:

– Kto jest Pana sensejem? Kim jest sensej w życiu karateki?

– Początkowo moim sensejem był pan Tetsuji Murakami (sandan, a wtedy najwyższym stopniem był godan), który przyjechał do Jugosławii na zaproszenie judoków. Było to w roku 1964 – w czasie narodzin karate w moim kraju. Gdy zobaczyłem pana Murakami stałem się fanatykiem karate. Nie było dla mnie problemem ćwiczenie codziennie minimum przez cztery godziny. Ze zdziwieniem, ale i z satysfakcją dowiedziałem się, że mam wrodzone predyspozycje, głównie szybkość. Znalazłem



pasję, poza którą niewiele mnie wtedy obchodziło.

– A propos wrodzonych predyspozycji: czy jeżeli ktoś nie jest hojnie obdarzony przez naturę, to nadal ma szansę stać się dobrym karateką?

– Nie odpowiem wprost. Wrodzone predyspozycje to potencjał. Ale wszystko zależy od treningu. Brak predyspozycji może wymagać wzmoczonego wysiłku. Podam przykład z Jugosławii. Mamy dwóch wspólnych karateków – Dacica i Saravolaca. Dacica można było nazwać „superantytalentem” a Saravolaca – „supertalentem”, tyle że bardzo leniwym. Natura dała mu o wiele więcej pożądanых cech niż Dacicowi. Ale efekt jest taki, że dziś Dacic jest dużo bardziej znany. Wszystko zależy od treningu. Wróćmy jednak do pytania o senseja. Nie zapomnę prezentu, jaki otrzymałem od pana Murakami. Ćwiczyłem z nim przez cztery lata...

Garść zębów

...i otrzymałem pas. Biały, oczywiście. Wtedy zdobycie zielonego pasa to był ogromny sukces. Faktem jest, że wkrótce dostałem pomarańczowy, potem zielony i szybko brązowy, z pominięciem niebieskiego. Po siedmiu latach uzyskałem shodan – pierwszy stopień mistrzowski w Jugosławii. Wkrótce Murakami opuścił Euro-

pę. Dla mnie kończyło się karate... mistrz nie pozwolił mi jednak na przerwanie ćwiczeń. Dodał, że jest ktoś znacznie lepszy od niego. Pamiętam słowa: „i prosz, byś mógł zostać jego uczniem”. W 1968 roku pojechałem do Rzymu. Miałem stać się uczniem senseja Kase. Zaczęło się od wielkiego rozczarowania. Patrzyłem na niego z bardzo wysoką. To jeden z najlepszych ekspertów na świecie. Powiedział mi: „O.K. – jeśli chcesz zostać moim uczniem, to pokaż co umiesz”. Miałem przejść próbę, jakże ciężką! Zadał mi polecenie na zmierzenie się z Denise i zambiku. W kumite. Jak się okazało, bardzo twardym i bezwzględny kumite. Kase z nas chciał zostać uczniem wielkiego senseja Kase. Każdy chciał wykazać, że właśnie on powinien nim zostać. W sumie wygrałem z tym strasznym człowiekiem. Walka była bez kontroli, brutalna i niebezpieczna. Dostałem zgodę na przyjazd na wakacje. Było to prawie siedemnaście lat temu. Myślę, że gdybym to ja wybrał mistrza, to zrobiłbym jakiś błąd, bo wybrał inaczey. Nauczyciel wybrał mnie. Wtedy karate to było tylko kihon, kilka kata Heian i Bassaidai. Wszystko. Pan Murakami był nauczycielem starej daty. Jeden element kazał ćwiczyć przez dwa, trzy lata. Nic więcej. Czas miałem wrażenie, że był sadystą. Kiedyś podczas jakiegoś pokazu naruszył mi uszko zębów. A wieczorem zamówił mi jakąś potrawę z niezwykłą ilością czosnku cytrynowego. Cekał na moją reakcję czy okaże słabość i ból? Już taki był. Ciężko wymyślał próby. Dziś mam czterdzieści pięć lat. Pewne rzeczy zrozumiałem. Wtedy nie potrafiłem. Chciałem go zapytać dlaczego tak mnie traktuje? Nie dowiedziałem się nigdy. Po prostu był okrutny. A sensej Kase okazał się jego przeciwnieństwem. Moje wyniki zaczęły się, gdy pod wpływem Kase wszystko zmieniłem. Sposób treningu, techniki itd. Dawało mi to ogromną satysfakcję. Gdy w roku 1970 byłem I Światowym Turniejem Karate w Tokio, w drugim dniu, po części drużynowo

Zdjęcia: ADAM HAYDER i KAZIMIERZ LASKOWICZ

Bractwo krokodyla

w Osace odbywał się turniej indywidualny. Sędziami byli eksperci najwyższej klasy: panowie Nakayama, Gogen, Yamaguchi, Otsuka, Kiwata – same gwiazdy. Oni dopuszczali karateków do walki. Ja byłem jednym z wybranych. Miałem walczyć z mistrzem shito-ryu. Czy można sobie wyobrazić, jak ja wtedy się czułem? Wszyscy na mnie patrzyli. Miałem walczyć z Japończykiem. W Japonii. Przed walką sensej Kase zadzwonił do mnie z Tokio. „Ilija – boisz się? Cała moja rodzina patrzy na ciebie. Nie martw się. Uważaj, by nie zrobić ci krzywdy”. Odpowiedziałem: „Nie, senseju! Proszę nie bać się o mnie. Zrobię wszystko, na co będzie mnie stać”.

Rozpoczęła się walka. Od razu uderzyłem przeciwnika w twarz. A ten nieugięty człowiek po prostu wyjął garść zębów i walczył dalej. To był dla mnie szok. Okropna walka. Pełna determinacja. Prawdziwy pojedynek. W pewnej chwili pan lwata – członek komisji sędziowskiej – przerwał walkę. Wygrałem! Pan lwata jest ze szkoły shito-ryu. Był zadowolony, że pokonałem jego najlepszego ucznia. Zostałem zaproszony na kolację w charakterze specjalnego gościa. Nie przeszkadzała nam bariera językowa. Rozumieliśmy się. Spotkałem wtedy również pana Sakagi, który był jednym z nauczycieli senseja Kase. Powiedział (miał około sześćdziesięciu pięciu lat), że w moich ruchach widział siebie o kilkadziesiąt lat młodszego. Mówił, że jest szczęśliwy. Szczęśliwy był też mój sensej. Czy muszę dodawać, jak szczęśliwy byłem ja sam? A był to nasz wspólny sukces. Wynik wspaniałego układu, jaki istniał między nami, między mną a moim nauczycielem. Myślę, że właśnie to jest najważniejsze i najpiękniejsze w karate.

Wiara w senseja

– Panie doktorze Jorga! Czy są jakieś granice poświęcenia dla swego senseja? Jak zachowywał się Pan, gdyby sensej zażądał czegoś niezgodnego z Pana światem wartości?

– Znamy się bardzo dobrze. Sensej Kase jest tradycyjnym Japończykiem. Jego świat wartości jest spójny. To człowiek o ogromnej etyce. Wie, że ja jestem członkiem innej sfery kulturowej. Szanuje moje obyczaje. Jest niemożliwe, by postawił mnie w sytuacji bez wyjścia. To typ samuraja, szlachetnego człowieka. Uczy mnie nie tylko karate – on jest moim nauczycielem życia. Trudno wprost ocenić, jak ogromny wpływ wywarł na moje życie. Nawiasem mówiąc łatwo jest znaleźć jakiegoś młodego zapaleńca i zrobić mu „pranie mózgu”. Narzucić mu do końca swoją wolę, zrobić z niego bezwonną maszynę. Ale czy to jest wychowywanie karateki? Być sensejem to znaczy ponosić odpowiedzialność za siebie i za ucznia. A więc takie pozbawienie kogoś własnej osobowości byłoby niesprawiedliwe. Nie waham się powiedzieć, że w pewnych kategoriach wręcz zbrodniczą.

– Wróćmy może jeszcze do Pana pierwszych kontaktów z sensejem Kase. Jak wyglądała praca z nim?

– Najpierw przyjeżdżałem do niego raz w miesiącu na sześć, siedem dni. Potem również pan Kase przyjeżdżał do Jugosławii.

– Czy tylko do Pana?

– Ależ skąd. Nie byłem już sam. Organizowaliśmy pokazowe treningi. Sensej Kase zna każdy kąt w Jugosławii. Wszędzie jeździł. Jest to nasz pierwszy oficjalny nauczyciel w Jugosławii. Wyniki sportowe nasze go karate to zasługa senseja Kase.

– Jak dotąd, poruszył Pan szereg problemów, bo w haśle „sensej” mieści się ogrom spraw. Czy mógłby Pan podsumować je?

– Karate to nie tylko sport. Karate jest znacznie bogatsze. Sensejem może być ktoś, kto nigdy nie ćwiczył karate. Sensej to nauczyciel życia. Człowiek poważny, o wybitnej osobowości. Ktoś, kto musi wiedzieć jak ja mam postępować w życiu. I on jest w pewnym sensie odpowiedzialny za moje błędy. Moje błędy są jego błędami. A sensej Kase to wspaniały charakter. Maluje, fascynuje się muzyką. Czyta bardzo dużo. Jest wszechstronnie wykształcony.

– A z czego żyje? Czy tylko z karate?

– Z wykształcenia jest ekonomistą, ale nigdy nie wykonywał tego zawodu. Żyje z karate.

Sport, czy coś więcej?

– Z czego Pan żyje?

– Jestem nauczycielem akademickim. Uczę fizjologii na Uniwersytecie w Belgardzie. Mam normalne zajęcia, ćwiczenia, egzaminy itd.

– Czy to znaczy, że karate nie jest wszystkim dla Pana?

– W pewien sposób jest, ale nie do końca. Zajmuję się medycyną. Moje szczęście polega na tym, że mogłem połączyć dwie pasje mojego życia – karate i medycynę. Nie ma konfliktu między pracą a hobby.

– Czy można powiedzieć, że karate dla Pana to hobby?

– Tak, bo nie zajmuję się nim dla pieniędzy.

– Jaka jest Pana ocena ewolucji zachodzącej w karate?

– Karate jest dyscypliną sportu. Jest tak traktowane i ma swoją „otoczkę” sportowej organizacji. Myślę tu o mistrzostwach, turniejach itd. Nie można jednak zapomnieć o następującej sprawie: młody człowiek zdobywa medal, może jeden, a może kilka przez parę lat, ale co potem? Karate to więcej niż sport. Sport jest jego ważną częścią. Nasz młody zawodnik musi doznać satysfakcji sportowej. To jednak tylko pierwszy poziom wtajemniczenia. A co z resztą życia? Człowiek starzeje się i w naturalny sposób staje się słabszy. Pozostaje mu sztuka karate, czyli karate-do. Tu nie ma granic ani wiekowych, ani innych. Obserwuję swego senseja. Ma sześćdziesiąt pięć lat. To niezwykle, jak szybki jest ten człowiek. Ma ciało czterdziestolatka. Zachowuje swą sprawność. To nie przypadek, że wszyscy mistrzowie żyją długo. Zapewnia to bogactwo treści, jakie w sobie niesie karate. Nie ma jakiegoś końca. Zawsze trzeba pracować nad sobą. A to pobudza życiodajną aktywność.

– Gdyby decyzja o włączeniu karate do programu olimpijskiego należała do Pana, to jaka by ona była?

– W światowym karate jest skomplikowana sytuacja. Istnieją konflikty i podziały. Wierzę, że dojdzie do jakiejś unifikacji karate i stanie się ono dyscypliną olimpijską. Ale obawiam się również, że z tą chwilą karate dużo straci. Olimpiada oznacza lata przygotowań pod kątem medalu. A wszyscy nie mogą być mistrzami. Mistrzów liczy się na palcach. A co z pozostałymi? „Technologia” przygotowań zmusza do koncentrowania się na najlepszych. By nie zubożyć karate trzeba znaleźć rozwiązania w śródku między sportem a sztuką.

– Czyli jednak opowiada się Pan za włączeniem?

– Tak, choć z licznymi obawami.

Rozmawiał
KAZIMIERZ LASKOWICZ

Nasz kodeks prawny

Zarządzenie Przewodniczącego GKKFiS z dnia 5 lipca 1984 r.
w sprawie uprawiania dalekowschodnich sportów walki

(fragmenty dokumentu opublikowanego w Monitorze Polskim nr 19/84)

Na podstawie § 1 ust. 2 pkt 1, 5 i 6 rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 12 lipca 1984 r. w sprawie szczegółowego zakresu działania Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu (Dz.U. Nr 18, poz. 82) zarządza się, co następuje:

§ 1. Zarządzenie określa zasady uprawiania dalekowschodnich sportów w z wyjątkiem judo.

§ 2. Style dalekowschodnich sportów walki, dopuszczone do uprawiania na terenie kraju:

- | | |
|-----------------|------------------------------------|
| 1. Aiki do | d) wszechstylowy kick-boxing (WAK) |
| 2. Do shin kan | e) Tsunami |
| 3. Jujitsu | f) Wado-riu |
| 4. Karate: | 5. Kendo |
| a) Kyokushinkai | 6. Kung-fu Wu-shu |
| b) Kyoksul | 7. Taekwon-do. |
| c) Shotokan | |

§ 3.1. Treningi sportowe oraz zajęcia rekreacyjne w zakresie dalekowschodnich sportów walki są prowadzone w klubach sportowych.

2. Zajęcia rekreacyjne w zakresie dalekowschodnich sportów walki mogą również prowadzić ogniska Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej oraz jednostki kultury fizycznej Zrzeszenia Studentów Polskich i Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej.

§ 4. Polski Związek Karate określi warunki, jakie powinny być spełnione przez kluby sportowe, ogniska i jednostki wymienione w § 3 przed rozpoczęciem treningów i zajęć. W klubach, o których mowa w § 3 ust. 1, treningi i zajęcia mogą prowadzić wyłącznie instruktorzy posiadający uprawnienia instruktora sportu, wydane przez Polski Związek Karate lub Resortowe Centrum Metodyczno-Szkoleniowe Kultury Fizycznej i Sportu.

2. Przepis ust. 1 nie dotyczy zagranicznych instruktorów dalekowschodnich sportów walki, zaproszonych do prowadzenia treningów w Polsce.

§ 13. 1. Prawo organizowania zawodów, imprez krajowych i międzynarodowych oraz publicznych pokazów w zakresie dalekowschodnich sportów walki posiadają wyłącznie Polski Związek Karate i kluby sportowe w nim stowarzyszone.

2. Udział w systemie rozgrywek sportowych mogą brać osoby, które są członkami organizacji sportowych stowarzyszonych w Polskim Związku Karate, posiadają staż zawodnika oraz

- 1) uczestniczą w treningach specjalistycznych przez okres co najmniej dziewięć miesięcy,
- 2) w okresie, o którym mowa w pkt. 1, uzyskały pozytywne wyniki w trzech kolejnych lekarskich badaniach okresowych.

§ 14. 1. Do treningów i zajęć rekreacyjnych w zakresie dalekowschodnich sportów walki mogą być dopuszczone osoby, które ukończyły 14 rok życia.

2. Osoby, które ukończyły 12 rok życia, mogą brać udział wyłącznie w ogólnorozwojowych ćwiczeniach przygotowawczych do treningu specjalistycznego w zakresie dalekowschodnich sportów walki.

3. Szczegółowe zasady opieki zdrowotnej związanej z uprawianiem dalekowschodnich sportów walki zawiera załącznik nr 3 do zarządzenia.

§ 15. 1. Osoby ubiegające się o dopuszczenie do treningów i zajęć rekreacyjnych w zakresie dalekowschodnich sportów walki obowiązane są przedstawić organizatorowi zajęć:

- 1) zaświadczenie o stanie zdrowia,
- 2) zgodę rodziców lub opiekunów – w odniesieniu do osób niepełnoletnich,
- 3) opinię szkoły – jeżeli są uczniami.

2. Jednostka organizująca treningi lub zajęcia rekreacyjne jest obowiązana przed rozpoczęciem przedstawić listę kandydatów do wiadomości właściwego miejscowego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

3. Urząd Spraw Wewnętrznych może w uzasadnionych wypadkach zgłosić zastrzeżenie co do dopuszczenia określonej osoby do treningów i zajęć rekreacyjnych.

4. Zastrzeżenie, o którym mowa w ust. 3, jest wiążące dla jednostki prowadzącej treningi i zajęcia rekreacyjne w zakresie dalekowschodnich sportów walki.

§ 16. 1. Jednostki organizacyjne prowadzące treningi i zajęcia rekreacyjne w zakresie dalekowschodnich sportów walki nie mogą:

- 1) prowadzić treningów lub zajęć, organizować zawodów i pokazów w tzw. pełnym kontakcie (full-contact),
 - 2) nauczać używania i używać broni na treningach i zajęciach.
2. Przez broń, o której mowa w ust. 1 pkt. 2, należy rozumieć każdą broń palną i sieczną oraz każdy przedmiot, w tym również tradycyjnie wykorzystywany w dalekowschodnich sportach walki, który może być użyty jako broń, bez względu na jego rozmiar i faktyczne zastosowanie.
3. Przepis ust. 1 pkt 2 nie dotyczy mieczy używanych w kendo oraz drewnianych kijów i mieczy używanych w aiki do.

4. Główny Komitet Kultury Fizycznej i Sportu może w szczególnie uzasadnionych wypadkach, na wniosek Polskiego Związku Karate, uchylić zakaz, o którym mowa w ust. 1.

Moje karate

Chciałbym, korzystając z faktu, iż wreszcie istnieje forum zajmujące się sztukami walki, przedstawić swoją osobistą koncepcję karate sportowego i jego związek z „karate-do”, drogą życia moją i wielu moich kolegów. Niewątpliwie część Czytelników widzi karate odmiennie lub nieco inaczej. Jest okazja, aby korzystając z gościnności łamów naszego pisma, porównać w interesie ćwiczących sztuki walki wiedzę i doświadczenia, rozpocząć dyskusję, do której serdecznie namawiam.

Podczas towarzyskich rozmów z zawodnikami z innych krajów stwierdziłem, że dla wielu z nich „karate-do” jest tożsame z karate sportowym. Nieszczęście. Koniec kariery zawodniczej będzie dla nich końcem „drogi”. Być może niektórzy pozostaną wyłącznie trenerami, lecz inni odejdą z karate na zawsze.

Czy taki proces będzie miał miejsce także u nas? Sympatycy karate wielokrotnie pytali mnie, kim jestem – sędzią, działaczem, zawodnikiem czy trenerem. Tak naprawdę, z przekonania, jestem tylko jednym z wielu ćwiczących karate... Na pytanie czy karate to sport odpowiadam – nie! To sztuka walki! Czy jest to jedynie forma specyficznego treningu? Nie! Karate to sposób na życie. I tak w moim odczuciu wygląda „droga” (do) w sztuce „pustej ręki”. Tak jak artysta, który nie wkłada w tworzone dzieło cząstki swojej duszy, tak karateka wycinający z karate część formy i tylko tę część stosujący, pozostaje wyłącznie rzemieślnikiem. Jeżeli karate ma u nas pozostać „sztuką”, a nie boksem na ręce i nogi, to trzeba starannie analizować wszystkie działania i trendy w rozwoju tej sztuki walki, pielęgnując tradycję jednocześnie dodawać nowe.

Być może mam zapędy romantyczne, ale racjonalizm pożarł już jedną z azjatyckich sztuk walki, pozostawiając z niej sam sport. Mam tu na myśli judo. Nie chciałbym, aby w karate pogoń za wynikami sportowymi, poklaskiem, pieniędzmi, karierą zabiła to, co dla ćwiczących jest najważniejsze. Atmosferę dojo, koleżeństwo, świadomość dobrego amatorstwa. Znają tę prawdę ci, którzy poznawali karate jeżdżili nierzadko na drugi koniec kraju, inwestowali w karate każdą złotówkę opłacając salę, sprzęt, instruktorów, wykorzystując każdą wolną chwilę na trening. Żmudnie i powoli zdobywali wiedzę przekazywaną teraz młodszymi, nie zawsze doceniającymi ogrom wyrzeczeń będących udziałem nauczycieli w ich pasji poznania.

W kilkunastoletnim tygłu „polskiego” karate krystalizowały się charakterystyczne wspaniałych ludzi, lecz także, co ze smutkiem stwierdzam, wielu kolegów zrezygnowało z chęci zostania „człowiekiem tao”. Odeszli od skromności. Od wielu lat nie potrafimy zna-

leźć właściwej recepty, jak szanując różnice w poglądach na temat karate znaleźć to, co nas łączy, jak szanować siebie nawzajem. Każdy ćwiczący powinien pamiętać, że ułomności jego charakteru są obserwowane i analizowane przez ogromną rzeszę karatekistów oraz o tym, że każdy nauczyciel oddiska na swoich uczniach pieczęć własnej indywidualności. U uczniów widać często nie tylko techniki ich mistrza, ale zarazem cząstkę jego osobowości.

Jak i po co ćwiczyć? To pytanie zadaje sobie większość zakładających karategi. Na początku, po kilku, kilkunastu treningach każdy jest supermieniem. Dalej jest ciężka orka, litry wylanego potu. Mijają lata, rozpoczyna się czas startów sportowych, dla niewielu wybrańców fortuny czas zwycięstw, których świadkiem jest publiczność. A potem? Ci, którzy zostają, ćwiczą dalej. Trening staje się mniej intensywny, bo przecież wydolność organizmu maleje z wiekiem. Czy stać ich na wykonywanie dużej ilości błyskotliwych, skomplikowanych technik? Elastyczność ścięgien zmniejsza się, maleje ruchomość stawów. Zaczynamy smakować karate jak stare wino. Z nagromadzonej wiedzy wybieramy techniki najbardziej pasujące do naszego ja, do stanu naszego ciała.

Potrafimy już tłumaczyć młodszymi nie tylko jak „robić” techniki, ale i dlaczego tak a nie inaczej należy je wykonywać. Ciągłe odkrywamy drobne prawidłowości, wcześniej nie dostrzegane lub nie rozumiane. Warunkiem podstawowym, który musi być spełniony, aby każdy ćwiczący znalazł po latach treningów swoją „drogę” i wyrobił sobie własny pogląd na karate, jest poznanie całej tej sztuki wraz z jej historią, archaizmami, etykietą, różnicami i liniami zbieżnymi stylów, karate sportowym, z jednoczesnym wystrzeganiem się popadania w skrajności.

Karate jest walką, ale oprócz kumite czy shiai tym samym karate są kata, kichon, ćwiczenia ogólnorozwojowe, etykieta i wreszcie sposób życia. Jeżeli ktoś wykonujący ruchy podobne do ruchów karateki, ale odrzucający elementy tradycyjnego treningu, jego oprawę, historię chce się określić, niech używa jakich chce słów, lecz niech nie mówi, że jest karateką, bo przecież nie jest on nim, wykonuje tylko techniki karate.

Wyłącznie od nas zależy, czy karate będzie jednym z bardzo wielu sportów, czy też zgodnie z pragnieniami wielu ćwiczących pozostanie jedyną i niepowtarzalną sztuką. Pełną ekspresyjnego piękna, filozofii, poszanowania przeciwnika, sztuką umiejętnego modelowania swojego ciała i umysłu, drogą, którą kroczy się całe życie w zadowoleniu z dobrze wykonywanej roboty.

JÓZEF SIKORA

Bokser elektroniczny



Piotr Siegoczyński podczas treningu ze swym nauczycielem kick-boxingu Andrzejem Palaczem.

Mistrz świata wcale nie wygląda na takiego, którego ktokolwiek miałby się bać. Zabawna czupryna, łagodne spojrzenie. W walce porusza się z precyzją elektronicznego robota, jakiegoś niewidzialnego czujnika pozwalają mu idealnie wyczuwać dystans, omijać przeszkody, wybierać tempo do ataku. Ale w życiu nie wykazuje wcale ani czupurności ani agresji, o którą posiadani są sportowcy używający w walce pięści i nóg. Do listopada 1985 roku PIOTR SIEGOCZYŃSKI był w polskim sporcie postacią nieznana. Kiedy agencje doniosły, że został mistrzem świata w kick-boxingu, zamiast uznania przez kraj przeszedł szmer niewiary. Kick-boxing w Polsce? Nawet wytrawni żurliści nie wiedzieli, że taka dyscyplina w ogóle jest u nas uprawiana. Dlatego też pojawienie się championa potraktowano podejrzliwie. Sukces warszawskiego studenta na ringu w Budapeszcie został całkiem inaczej, na szczęście, potraktowany przez środowisko młodzieżowe. Okazało się, że kick-boxing ma jednak jakieś magnetyczne właściwości, że tysiące chłopców nagle zapalało chęcią zapisania się do klubu, rozpoczęcia treningów. Przy okazji wyszło na jaw, iż te niezwykle atrakcyjną dyscyplinę uprawia w Polsce ponad trzy tysiące osób, że działa 25 sekcji i wszystko to ma całkiem przyzwoite ramy organizacyjne...

Animatorem kick-boxingu w naszym kraju jest trener Piotr Siegoczyński, Andrzej Palacz. Oddajemy mu głos: – Mój związek z karate rozpoczął się od shotokanu. Po kilku latach uprawiania tego stylu przypadkowo zetknąłem się z filmem o kick-boxingu. Zafascynowała mnie ta forma walki, a kiedy dowiedziałem się, że urażowość w tej dyscyplinie jest nawet mniejsza niż w tradycyjnym karate, zaś uderzenia pięściami i kopnięcia przy zastosowaniu specjalnych zabezpieczeń nie wyrządzają żadnej szkody, postanowiłem poznać jej tajniki. Cóż, zaskoczeniem dla mnie była informacja, że kick-boxing wcale nie pochodzi ze Wschodu, lecz narodził się w USA, gdzie słynny Bruce Lee, a potem John Ree postanowili udowodnić, że nie we wszystkich należy bezkrytycznie małpować Japończyków, bo można wymyślić nową formułę walki, ciekawą, bezpieczną i dającą pełną szansę sportowego wyzicia. W 1979 roku spotkałem w Budapeszcie Austriaka Petera Lani i Włocha Dario Gambę. Oni uczyli Węgrów, nauczyli i mnie. Dostałem podręczniki, foldery, kasety. Po powrocie do kraju zacząłem szukać sponsora, który stworzyłby możliwość rozpoczęcia zajęć z młodzieżą. Znalazłem mecenasa znakomitej Organizacji ZSP na Politechnice Warszawskiej wspaniałego człowieka zainteresowanego studentów tej uczelni. Kung-fu i kick-boxing uzyskały prawo bytu, zabezpieczenie organizacyjne i finansowe...

Kick-boxing ma bardzo proste i jasne reguły. Atakować można pięściami i stopami cały korpus przeciwnika oraz nogą. Za każdy cios rękawicą otrzymuje się 1 pkt, za cios uderzenie nogą w tułów 1 pkt, w głowę 2 pkt., a za te same trafienia nogą w wysokość odpowiednio po 1 pkt. więcej. U nas zezwala się tylko na walki w tzw. semi-kontakcie, a więc z zatrzymaniem akcji po każdym uderzeniu. W ten sposób kick-boxing przypomina trochę szermierkę. W innych krajach stosowany jest także full-kontakt, a więc walka z wymiarem ciosów, znacznie żywsza i ciekawsza, w której stosowane dodatkowe zabezpieczenia (np. kaski), dzięki którym urażowość jest także niemal zerowa.

Przed wyjazdem na nasze pierwsze mistrzostwa świata amatorów do Budapesztu mieliśmy już międzynarodowe przetarcie. Nasza ekipa startowała w Pecs i tam objawił się talent Piotra Siegoczyńskiego. Piotruś z łatwością ograł wszystkich rywali i zdobył złoty medal. Może dlatego, jego późniejsi

sukces w championacie światowym dla mnie nie był aż tak wielką sensacją. Piotrek ma fenomenalny refleks i wyczucie tempa. Ciekawe, że prawie wszystkie punkty zdobywa pięściami, niemal nie stosując kopnięć. Słyszałem, że już się nim interesują trenerzy bokserzy. Ale wiem, że on nie zdradzi kick-boxingu.

Piotr Siegoczyński urodził się 26 VIII 1966 roku w Milanówku pod Warszawą. Jego ojciec jest pracownikiem naukowym Politechniki Warszawskiej, fizykiem, mama artystką-plastyką, specjalizującą się w tkactwie. Jeszcze w szkole podstawowej Piotr zaczął trenować karate w TKKF Ochota. Do kick-boxingu namówił go Andrzej Palacz w 1982 roku. Do tej pory startował w 14 dużych turniejach, w których zdobył 15 pucharów! Od dwóch lat nie przegrał ani jednej walki, odniósł pod rząd 32 zwycięstwa! Dzierży oczywiście także tytuł mistrza Polski, wygrał bowiem i krajowy championat w Radomiu przed Dariuszem Kosmą z Lublina. W życiu cywilnym Siegoczyński jest studentem I roku Politechniki Warszawskiej, wydziału geodezji i kartografii, kierunek chemia, specjalizacja – poligrafia. W uczelnianym klubie SKK ZSP PW wraz z nim kick-boxing uprawia aż 600 studentów...

– Jesteśmy samowystarczalni – mówi trener Andrzej Palacz. Zawodnicy płacą czesne w wysokości 500 zł miesięcznie, są więc środki na zapłacenie sali wynajmowanej w Liceum Św. Augustyna, na sprzęt, pensje dla kadry szkoleniowej, udział w zawodach. Nawet w mistrzostwach świata startowaliśmy na własny koszt. W naszej ekipie obok Piotra Siegoczyńskiego byli: Waldemar Hajducki, Andrzej Szymański, Tadeusz Kornata, Jacek Skołożyński, Wojciech Cieślak i Marek Podraza. Niestety, poza Siegoczyńskim nikt nie zanotował zwycięstw. Konkurencja była bardzo silna, 220 zawodników z 22 krajów, w większości ludzie bardzo doświadczeni, świetnie wyszkoleni. Nielatwo będzie szybko dojść do ich poziomu, ale myślę, że złoty medal Piotrka da innym zawodnikom więcej wiary w siebie...

Droga Siegoczyńskiego do finału była bardzo trudna. Już w pierwszej rundzie wylosował znakomitego Francuza Jean Bigota. Po pełnej dramaturgii walce Polak zwyciężył 4:3. W ćwierćfinale los wyznaczył mu smagłego Anglika Alura Rahmana, znanego mistrza kung-fu odmiany lau-gar. Tutaj przewaga Piotra była już bezdyskusyjna, wynik 5:2 mówi sam za siebie. Znacznie trudniej było w półfinale. Na skutek pewnych nieporozumień. Polacy nie znali dokładnie godziny następnego pojedynku i do walki z Węgrem Istvanem Fodorem Siegoczyński wyszedł zupełnie nie rozgrzany. W regulaminowym czasie nikt nie zdobył przewagi i przy stanie 2:2 sędzia zarządził dogrywkę. Trwała minutę i tuż przed gongiem Polak ułokował zwycięski cios. Wreszcie finał. Naprzeciw Siegoczyńskiego weteran światowego semi-contactu, Włoch Gerhard Walde.

– Dość szybko objąłem prowadzenie – mówi mistrz. Ale przy stanie 3:1 zbyt szybko uwierzyłem, że już jest po wszystkim. Włoch trafił mnie dwa razy pod rząd, a wyrównujący cios zadał nogą w twarz. Nie było to przyjemne, ale nic mi się nie stało. Znalazłem chwilę nieuwagi rywala i zrewanżowałem mu się pięknym za nadobne. Wykonałem *okreźnego kopniaka* i wygrałem 5:3. Zostałem mistrzem świata! Początkowo wydawało mi się to niemożliwe. Ale gdy organizatorzy podbiegli i zaczęli krzyżeć, żeby szybko dostarczyć im płytę albo taśmę z Mazurkiem Dąbrowskiego, uwierzyłem, że jednak to wszystko jest prawdą. Hymnu nie wzięliśmy ze sobą, nie mieli go też Węgrzy. Ktoż mógł przypuszczać, że będzie potrzebny?

JACEK ZEMANTOWSKI



WYNIKI MISTRZOSTW ŚWIATA W KICK-BOXINGU AMATORÓW BUDAPESZT XI 1985

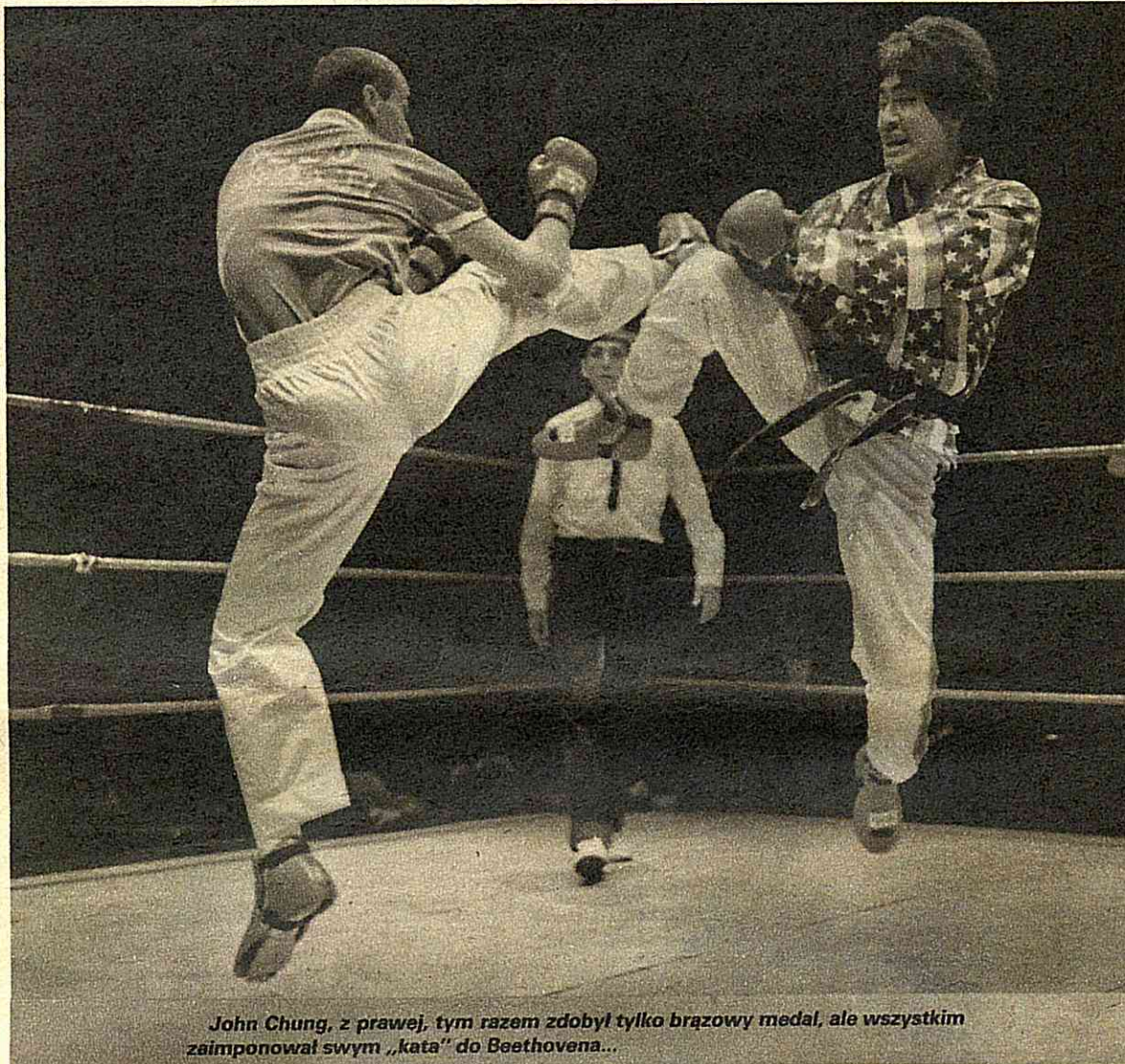
SEMI-CONTACT MĘŻCZYZN

- 57 kg – Siegoczyński, Polska, Walde, Włochy, Ulrick, RFN.
- 63 kg – Gallozzi, Włochy, Baleche, Francja, O'Neill, Irlandia.
- 69 kg – Bresser, Norwegia, Haas, RFN, Veress, Węgry.
- 74 kg – Hinz, RFN, Nessim, Iran, Benicic, Jugosławia.
- 79 kg – Parkinson, W. Brytania, Zimmermann, RFN, Stelz, Austria.
- 84 kg – Brewerton, W. Brytania, Harrer, RFN, Katona, Węgry.
- +84 kg – Dabły, Wybrzeże Kości Sł., Wray, W. Brytania, Szivak, Węgry.

Widziałem Chunga!

„... mr marek frysz president wako poland... zapraszamy pana do udziału w światowym kongresie i otwartych mistrzostwach świata w kick-boxingu, które odbędą się w londynie pe.”

Kiedy 16 października ubiegłego roku telex tej treści dotarł do Studenckiego Klubu Karate AZS-ZSP Politechniki Warszawskiej, nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że może on stać się początkiem wspaniałej sportowej przygody. Dzięki pomocy Okręgowego Związku Dalekowschodnich Sportów Walki w Warszawie oraz Zrzeszenia Studentów Polskich, dokładnie w dwa tygodnie później, 31 października, znalazłem się w luksusowym hotelu Posthouse w Heathrow pod Londynem, w którym oczekiwał już na mnie George Bruckner (8 Dan) jeden z twórców kick-boxingu, a obecnie Prezes Światowej Organizacji Wszechstyłowego Kick-boxingu (WAKO) w Europie. Przywitanie z nim było dla mnie miłą niespodzianką, tym bardziej że znałem go jedynie z czasopism i książek: „Czy ty jesteś Marek z Polski? Tak, domyślałem się, że to ty, bo Jan opowiadał mi o „polskiej młodzieży”. Wspomniany tu Jan to Jan Willem Stoker (7 Dan Holandia) – dyrektor techniczny WAKO, który w maju ubiegłego roku na zaproszenie SKK PW odwiedził nasz kraj, w rezultacie czego w organizacji dowiedziano się o nas. Niektórych może tu dziwić ta bezpośredniość w stosunku do, jakby nie było, „wielkich mistrzów” kick-boxingu, ale to właśnie jest jednym z magnesów przyciągających ludzi do WAKO. „Jesteśmy jedną, wielką sportową rodziną” mówi Jan Willem. „Każdy z nas jest tylko człowiekiem ze swoimi umiejętnościami, ale i ułomnościami, i tylko wzajemna pomoc i wymiana doświadczeń może dać najlepsze rezultaty. Kiedy ćwiczyłem u Oyamy czy Choy’a (Stoker jest posiadaczem 4 Dan w Kyokushinkai i Taekwon-do) brakowało mi tego”. O prawdziwości tej dewizy mogłem przekonać się osobiście wśród tych wszystkich trenerów i zawodników, którym przewodzi „Wujaszek George”. Jakże to odmienne od spotkań z sensejami tradycyjnego karate... Taka właśnie atmosfera towarzyszyła naszej pierwszej rozmowie, w czasie której mogliśmy poznać się bliżej. Przez trzy godziny opowiadałem mu o historii i dniu dzisiejszym polskiego kick-boxingu, on zaś przedstawił mi sytuację organizacji oraz pokazał najnowsze ochraniacze TOP TEN, firmy, w którą tak jak i w kick-boxing w ogóle, włożył nie tylko swój majątek, ale i całe serce. Nowy kask, rękawice, suspensoria – jeszcze lepsze i bezpieczniejsze. „W ciągu ostatnich 15 lat włożyłem w firmę 10 mln DM. Pewnie nigdy mi się to nie zwróci, ale wystarcza mi świadomość, że zapewniłem zawodnikom maksimum bezpieczeństwa”. Potwierdziło się to w czasie niejednych zawodów. Na zakończenie dnia jeszcze jedna nowa znajomość – Jean Pierre Schuepp (4 Dan, Szwajcaria) – sędzia główny zbliżających się zawodów. Spędziłem z nim ponad dwie godziny nad nowym regulaminem walk semi-i full-contactowych, uzupełnionym i poprawionym specjalnie na te zawody. Poza tym mieliśmy jeszcze jeden wspólny temat: komputery, bowiem ja studiuję elektronikę, a on jest szefem dużej firmy zajmującej się sprzedażą komputerów. Piszę o tym, aby podkreślić, że tak jak dla większości ludzi prowadzących WAKO, również dla niego i dla mnie jest to jedynie hobby, dodatek do życia zawodowego, a nie zawodowe źródło utrzymania. Oczywiście, nieco inaczej przedstawia się to wśród zawodników...



John Chung, z prawej, tym razem zdobył tylko brązowy medal, ale wszystkim zaimponował swym „kata” do Beethovena...

Kolejny dzień, piątek, był dniem Kongresu, na którym, tym razem już na szerszym forum, mogłem zaprezentować polski kick-boxing. Osobą rekomendującą mnie był ponownie Jan Willem Stoker. Moja relacja spotkała się z bardzo miłym przyjęciem, czego dowodem było przyjęcie naszego kraju w poczet krajów członkowskich WAKO. Od razu wystąpiono z wieloma propozycjami współpracy zagranicznej, która jest jednym z głównych celów działalności organizacji. W czasie omawiania „sprawy polskiej” najwięcej zainteresowania wzbudził problem full-contactu w Polsce. Naprawdę trudno było mi wyjaśnić zgromadzonemu, dlaczego jest on w Polsce zakazany. Zresztą na to pytanie trudno znaleźć odpowiedź i nam samym. „Czy boks jest w Polsce również zakazany? Nie?! To dziwne, bo regulamin walk full-contactowych jest jedynie rozszerzoną formą regulaminu boksu amatorskiego. Wbrew myśleniu może nazwie, to nie jest walka na śmierć i życie”. Niestety, chyba właśnie to groźne brzmienie określenia było dla twórców zarządzenia nr 16 głównym atutem. Ciekaw jestem, czy rozpatrywali oni też znaczenie takich nazw jak Kyokushinkai, Shotokan itp. No cóż, ma-

my nadzieję, że sytuacja ta odmieni się i w naszym kraju.

Kongres nie był jednak ostatnim punktem dnia. Nazajutrz czekały nas potężne zawody, przed którymi było jeszcze wiele pracy. Kiedy do hotelu dotarli już wszyscy zawodnicy z 16 krajów, rozpoczęła pracę komisja sędziowska, w skład której włączono również mnie. Ponownie osobą polecającą mnie był potężny Holender, który w czasie swojego pobytu w Polsce przeprowadził seminarium sędziowskie, na którym nadał dwie licencje sędziowskie międzynarodowe (dla Andrzeja Palacza i Wojciecha Kożona) oraz trzy niższej rangi (ja otrzymałem licencję klasy C). Po naszych wcześniejszych rozmowach, sędzia główny – Jean Pierre Schuepp – nie sprzeciwiał się. Do późna w nocy trwało ważenie i losowanie zawodników oraz odprawa sędziowska. Było to zresztą dla mnie duże przeżycie. Miałem w ten sposób możliwość poznać osobiście czołowych zawodników światowego kick-boxingu, profesjonalistów takich, jak Joe Lewis, Jeff Smith, Ray Mc Callum czy John Chung. Wymieniłem tu jedynie zawodników amerykańskich, ale oni też stanowią profesjonalną czołówkę w tym sporcie na

świecie. Jak się jednak miało później okazać, znaleźli godnych rywali w Europie.

Sobota, 2 listopada, rozpoczęła się dość wczesnym śniadaniem. Cały hotel wypełnił dobrze zbudowani mężczyźni różnych nacji i kolorów skóry. Było tam też wiele pięknych dziewcząt, i to nie wietbicielek championów, ale... zawodniczek. Przyjechały one na Puchar Świata w semi-contakcie kobiet. Nicóż, zapowiadał się ciekawy dzień... Autokarami zawieziono nas do pięknej hali sportowej na Wembley. Cóż to za obiekt! Z żalem pomyślałem o warunkach dla imprez sportowych w naszej stolicy...

W ciągu 30 (!) minut dwie sprawne ekipy rozstawiły dwa ringi. Pewna innowacja i utrudnienie dla sędziów w semi-contakcie (normalnie walki odbywają się na planszy ale w ten sposób pogodzono, zaplanowano jedno po drugim, walki w obu konkurencjach. W rezultacie, miało to jednak tę dobrą stronę, że zawodnicy ograniczeni linami musieli walczyć szybciej i efektywniej, zamiast uciekać z pola walki. Ja również z uśmiechem wspominam przypadki, kiedy od upadku z ringu chroniło mnie przytrzymanie lin.

Przed samym rozpoczęciem walk ostatnia odprawa sędziowska. Podzielono nas na dwie grupy, przypisane do poszczególnych ringów. Jedną prowadził Jean Pierre, drugą zaś Jan Willem. Poczułem się różnie, gdy znalazłem się koło Holendra. Już do pierwszej walki wyznaczono mnie na sędziego punktowego i zaczęło się... Kolorowe kimona, wspaniałe ochraniacze TOP TEN... I tu powstał pierwszy problem. Amerykanie, poza kimonami z flagi USA, przywieźli ze sobą sprzęt Jhoona Rhee, prekursora tego rodzaju ochraniaczy. Narada sędziów i... absolutny zakaz używania innego sprzętu niż ten, dostarczony przez organizatorów! Po krótkiej dyskusji Jeff Smith – kapitan drużyny USA – zrezygnował ze swych roszczeń. Dla kogoś tak doświadczonego jak on, rozumiałe było nie tylko zapewnienie równych szans dla wszystkich startujących, ale i maksymalne bezpieczeństwo. Później zresztą, wielu zawodników, w tym i Amerykanów, przyznali, że nigdy jeszcze nie walczyli w sprzeczce tej klasy.

Rozpoczęto od konkurencji semi-contact mężczyzn, tej najpopularniejszej wśród polskich kick-bokserów. Muszę przyznać, że poziom wielu zawodników zadziwił mnie. Nie sądziłem, że w realnej walce, a do takiej dąży się w kick-boxingu, można stosować tak bogaty wachlarz technik i kombinacji. Z przyjemnością stwierdziłem też, że kilku zawodników z naszego kraju nie byłoby tu kopciuszkami. Klasą dla siebie byli zawodowcy z USA. Wystarczy powiedzieć, że na 7 kategorii wagowych zdobyli oni 4 złote i 3 brązowe medale.

Zdobywcy „zaledwie” trzech lokat przegrywali głównie... przez zbyt silny kontakt. Pod tym względem sędziowie byli jednak bardzo stanowczy. Kiedy w czasie jednej z walk musiałem liczyć przeciwnika Amerykanina, mówił on o „sporcie dla mężczyzn, a nie dla dzieci”, ale takie są już reguły semi-contactu, że bardziej niż siła liczy się tu perfekcja technik oraz ich pełna kontrola. Kto tego nie potrafi, znaczy, że jest gorszy... nic więc dziwnego, że przegrywa. Tak było m.in. z Ray Mc Callum (od kilku lat w pierwszej dziesiątce rankingu Professional Karate Association). Z kolei jako przykład supertechniki dałbym innego reprezentanta USA – Johna Chunga. Niestety, już w ćwierćfinale los postawił przed nim zawodnika RFN – doskonałego Waltera Reinera. Ich walka zakończyła się w drugiej dogrywce wynikiem 11:12 dla Niemca. Tym razem mistrz świata z 1983 roku musiał się zadowolić brązem. Pomimo tego była to walka, której sędziowanie dało mi najwięcej przyjemności.

Po zakończeniu eliminacji mężczyzn rozpoczęły się walki eliminacyjne kobiet. Było to dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie, szczególnie, że w tzw. międzyczasie „awansowałem” na sędziego prowadzącego walki, i jako jedyny sędzia neutralny (byłem w Londynie bez swoich zawodników) sędziowałem większość pojedynków. Z walkami pan zetknąłem się po raz pierwszy na zawodach w Pecu (Węgry), gdzie pojechalismy jako drużyna SKK PW (Piotr Siegoczyński zdobył tam wtedy pierwsze miejsce), nigdy jednak nie prowadziłem „damskich” walk. Jak się wkrótce miało okazać, było to zadanie dużo trudniejsze niż sędziowanie walk mężczyzn. Są ku temu dwie przyczyny. Pierwsza to fakt, że nie potrafią one w walce wykorzystać swojej techniki, druga zaś to... kobieca natura, która wnosi do walki specyficzny rodzaj zaciekłości. Kilka razy miałem poważne problemy z rozdzieleniem walczących białogłów. Rzeczywiście, wiele z nich na co dzień to piękne, zadbane dziewczęta, które jednak bardzo zmieniają się w czasie walki. Również i w tej konkurencji chciałbym wyróżnić jedną z zawodniczek – czarnoskórą Amerykankę Lindę Denley (+60 kg). Wygrywała ona swe walki w pięknym stylu 11:0, 13:2, itp. nieustannie uśmiechając się do swych przeciwniczek i... sędziów.

Ostatnia część eliminacji to full-contact. Na to też najbardziej oczekiwała licznie zgromadzona publiczność na Wembley. Co ciekawe, prawie wszyscy Amerykanie wy-

startowali po raz drugi. Wśród amatorów jest to niemożliwe, ale tu rządziły nieco inne prawa. Pomimo zmęczenia i teraz okazali się bardzo mocni. W dziesięciu kategoriach wagowych do finałów przeszło ośmiu z nich! Ta część zawodów okazała się dla mnie najciekawsza.

Czy znajomość przepisów i walki oglądane tylko na wideo wystarczą, aby dobrze sędziować? Jan Willem nie miał takich wątpliwości: „To jest łatwiejsze niż sędziowanie semi-contactu, zresztą przy pierwszych walkach pomogę ci”. Tak powiedział i dotrzymał słowa. Jednak po dwóch walkach opuścił mnie mówiąc: „No, to już sobie pójść. Nie będę ci przeszkadzał”. Był to jeden z najmilszych komplementów, jakie usłyszałem w czasie swojego pobytu w Londynie. Skończyło się na tym, że sędziowałem wszystkie (!) walki, bo potrzebny był sędzia neutralny. Cóż, nie mogłem tracić takiej okazji.

Po 6 godzinach eliminacji nastąpiła krótka przerwa na posiłek, a następnie rozpoczęły się finały. Najpierw oficjalna prezentacja gości przybyłych na zawody. Długo będę pamiętał owację, jaką zgotowali mi zawodnicy i publiczność w chwili, kiedy padła nazwa naszego kraju. Po części oficjalnej rozpoczęły się walki. Była to prawdziwa uczta dla fanów kick-boxingu. Nic dziwnego, dotarli tu już tylko najlepsi. Trudno wyróżnić jakieś konkretne walki. Więc zamiast tego, wrażenie ogólne. Zadziwiający był poziom techniczny zawodników. W full-contactie szczególny nacisk kładzie się bowiem na przygotowanie kondycji i wytrzymałości. Nie zabrakło tu jednak prawdziwych popisów technicznych. Wymowny jest fakt, że w czasie całych zawodów (w sumie ok. 200 walk) był tylko jeden (!) nokaut i trzy nokdauny. Bez wątpienia jest to najlepsza reklama dla sprzętu TOP TEN i całego kick-boxingu. Wyróżniły się dwie drużyny: USA i RFN – obie po 16 medali. Do najciekawszych wyników zaliczyłbym podwójny mistrzowski Troya Dorsey (USA) w semi- i full-contactie. W drużynie RFN – podwójny tytuł dla... małżeństwa Mack: Ferdinand w kat. 75 kg w full-contactie, a jego małżonka – Gerda w semi-contactie 55 kg. George Bruckner mógł być naprawdę zadowolony ze swoich podopiecznych.

Na zakończenie imprezy odbył się pokaz muzycznych „kata”. Jest to jeden z dodatków do kick-boxingu. W sporcie tym nie ma bowiem ćwiczeń formalnych tak, jak w tradycyjnych stylach karate. „Tu liczy się nie styl, ale człowiek”, wielokrotnie powtarzał Jan Willem. Wyrazem tego jest stworzenie przez wybitnych zawodników swoich własnych „kata” pod wybraną przez siebie muzykę. Niezapomniane wrażenie wywarł na wszystkich pokaz wspomnianego wcześniej Johna Chunga – kilkukrotnego mistrza świata w konkurencjach kata. Kiedy ułaskawiony V Symfonia Beethovena publiczność wstała z miejsc. Sądzę, że była to znakomita rekompensata za przegraną z Niemcem z RFN. Tak zakończyły się te wspaniałe zawody, choć nie był to jeszcze koniec całej imprezy. Do 5 rano trwał bowiem w hotelu bankiet dla zawodników, który był znakomitą sposobnością do nawiązania bliższych znajomości. Miałem tam też okazję porozmawiać po... polsku ze Szkotem polskiego pochodzenia, który... zajął pierwsze miejsce w jednej z kategorii semi-contactu! Na koniec również i mnie czekała miła niespodzianka. Zawodnicy i komisja sędziowska uznali mnie za jednego z najlepszych sędziów zawodów, w rezultacie czego postanowiono mi nadać, jako najmłodszemu człowiekowi w świecie, międzynarodową licencję sędziowską kick-boxingu. Nie muszę chyba mówić, jak wielkim było to dla mnie wyróżnieniem. Wystarczy powiedzieć, że certyfikat ten wisi u mnie w domu na honorowym miejscu i przypomina tę wspaniałą przygodę w Londynie.

MAREK FRYSZ

III MISTRZOSTWA EUROPY w karate – kyokushinkai Barcelona 1 XII 1985

Startowało 80 zawodników z 17 państw: Hiszpanii, Holandii, Anglii, Danii, Norwegii, Lichtensteinu, Szwajcarii, RFN, Szwecji, Walii, Włoch, Austrii, Francji, Szkocji, Irlandii, Węgier i Polski.

WYNIKI:

Waga lekka – do 70 kg:

1. Drożdżowski – Polska

2. Petersen – Dania

3. Csaba – Węgry

Landa – Dania

Waga średnia – do 88 kg:

1. Da Costa – Anglia

2. Gwiżdż – Polska

3. Luna – Hiszpania

Mundweler – Lichtenstein

Waga ciężka – ponad 80 kg:

1. Hug – Szwajcaria

2. Rex – Dania

3. Jensen – Dania

Falkonhan – RFN

Poza medalistami barwy Polski reprezentowali Maciej Mierzejewski z Kielc oraz Artur Lenda z Krakowa. Ten ostatni wygrał dwie walki i odpadł w ćwierćfinale.

MAREK DROŹDŹOWSKI:

Przepraszam, że wygrałem

– Zostałeś mistrzem Europy! Pierwszym polskim karateką, który zdobył kiedykolwiek tak wysoki tytuł. A jednak minęło wiele tygodni od twojego sukcesu w Barcelonie, nim jakieś szczegóły ujrzały światło dzienne. Jak myślisz, dlaczego?

– Przyczyn jest kilka. Po pierwsze, wśród dziennikarzy wiernych tradycyjnym, olimpijskim dyscyplinom brak jeszcze wybitnych specjalistów od karate, nie miał więc kto rozpropagować naszych wyników uzyskanych w Hiszpanii. Po drugie, w naszym własnym, karateckim „kotle” wciąż istnieje niezdrowa tendencja do pomniejszania osiągnięć jednego stylu, dla wywyższenia innego. Ja na przykład bardzo się ucieszyłem, kiedy Piotrek Siegoczyński zdobył tytuł amatorskiego mistrza świata w semi-contactie kick-boxingu i nigdy nie ważyłbym się podważać wartości tej imprezy.

– Powiedz więc wreszcie, jak wyglądały owe mistrzostwa Europy w kyokushinie, z których przywoziłeś złoty medal...

– Był to trzeci z kolei championat naszego stylu. Odbywał się w wielkiej gali pod protektoratem samego króla Hiszpanii Juana Carlosa, któremu symbolicznie przyznano honorowego „dana”. Hala Palacio Municipal de Deportes wypełniona była po brzegi, gospodarze lubią sporty walki, a liczili przecież także na sukcesy swoich reprezentantów. Główną postacią całej imprezy był jednak nie król i nie uczestnicy, ale nasz mistrz nad mistrzami i nauczyciel, twórca kyokushinu Masutatsu Oyama. To legendarna już niemal postać. Miałem sposobność poznać go wcześniej, w Japonii, zrobiono nam nawet wspólne zdjęcie. Jakoś udało mi się utrzymać do niego stosunek jak człowiek do człowieka, bowiem wię-

sząc zawodników traktuje go jak i niemal pada przed nim na twarz. Miałem, żeby wdrapać się na podium i ręką otrzymać medal. To wszystko.

– Obsada była więc pełna, nie jakieś gorzkie zawody...

– Powinienem się obrazić. Normą mistrzostwa Europy z udziałem całej Europy – jak wobec tego się stało, że będąc mistrzem Polski, reprezentuję nasz kraj?

– O nominacji decydowały szanse w mistrzostwach Polski nie startowaliśmy natomiast wielokrotnie odnosiliśmy sukcesy ze złotymi medalami włącznie, w szóstym turnieju międzynarodowym w Szegedzie Węgry od lat zapraszają euroczółówkę. Uznano, że moje doświadczenie może być pożyteczne i w Barcelonie.

– Ilu przeciwników pokonałeś w drodze do finału? Jak to zrobiłeś?

– Aby dojść do finału musiałem wygrać cztery walki. Nie o wszystkich chciałem jednak mówić szczegółowo...

– Dlaczego?

– Po prostu w Polsce zakazane jest wanie karate-full contact. A w mistrzostwach Europy jest wyłącznie full. Ta aby w ogóle móc startować, musiałem w pewnym sensie czynić to, czego wolno robić nie wolno.

– Ale przecież nasze wewnętrzne obowiązują tylko w kraju...

– Chciałbym, aby tak było naprawdę.

– A więc, co masz jeszcze do ukrycia?

– DWie walki wygrałem przez nokaut. Z Brytyjczykiem i czarnoskórym Niemcem...

– Każdy bokser chodzący dumnie po ringu...

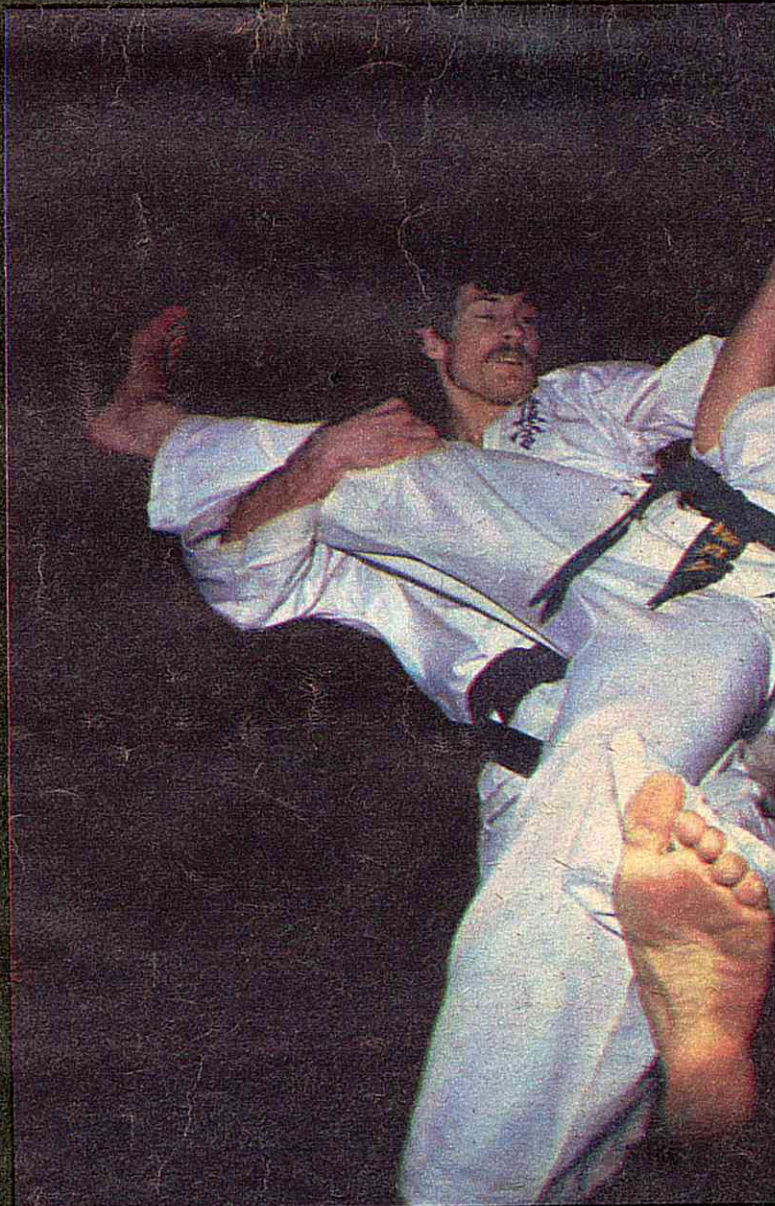


– A ja bardzo wszystkich przepraszam.
– Nie daj się ciągnąć za język. Mów więcej...
– No więc, w pierwszej walce wylosowałem Hiszpana Manuela Blanco, zawodnika rutynowanego, mającego drugi DAN i 28 lat. Mało było ciosów, polowaliśmy wzajemnie, bez skutku. Nie dały rozstrzygnięcia dwie dogrywki. Hiszpan walczył nieczysto, łapał za karategę, kopał w kolana, chciał uderzyć w twarz, a przecież tego wszystkiego zabrania regulamin. Sędziowie orzekli, że ja byłem lepszy technicznie i przyznali mi zwycięstwo.
– Nosisz okulary. A co robisz w czasie walki?
– Zakładam szkła kontaktowe, miękkie, plastikowe. Widzę w nich zupełnie dobrze. W drugiej walce nie musiałem długo wytyczać wzroku, bowiem już na początku zaskoczyłem Szkota kombinacją zwodów ręce-noga-ręce i trafiłem go nogą na „punkt”. Został wyliczony. To samo było w trzeciej walce z Holendrem Constancio. Pojedynek trwał zaledwie kilkanaście sekund...
– Stałeś się więc chyba postrachem Barcelony?
– Bez przesady. Nikomu nic złego nie zrobiłem, obaj rywale wstali i złożyli mi gratulacje. Fakt jednak faktem, że wszyscy zaczęli na mnie patrzeć jakby z większym szacunkiem, a Duńczyk, z którym walczyłem o finał unikał jak ognia jakiegokolwiek kontaktu.
– Czy wolno tak symulować walkę w full-contactie?
– To niby nie była symulacja. Ja polowałem na cios, a on uważał, by go nie spotkał los poprzedników. Przy stanie 0:0 zarządził dogrywkę. Mocniej zaatakowałem, ale nie było nadal punktów. Sędziowie uznali moją aktywność i wypunktowali zwycięstwo,

jednak główny arbiter nie zgodził się z taką decyzją i zarządził „próbę desek”. Rozbijaliśmy pięścią, kantem dłoni i lokciem wskazaną przez siebie liczbę deszczulek. Wygrałem 10:7 i byłem w finale. Spełniło się moje marzenie, wiedziałem, że z rąk Oyamy otrzymam co najmniej srebrny medal.
– Zdobyłeś złoty. Ale było to zwycięstwo nieco dziwne...
– To prawda. Zawsze tak jest, gdy wygrywa się przez dyskwalifikację przeciwnika. Ale nie ja ustalałem regulaminy. W końcu jeśli kyokushin ma nie być bijatyką, lecz sportem, trzeba te przepisy respektować. Duńczyk Petersen na „dzień-dobry” huknął mnie czystym podbródkowym w szczękę i poleciałem na tatami. Byłem przytomny, chciałem walczyć dalej, ale sędzia natychmiast przerwał pojedynek i przyznał mi zwycięstwo. Przepraszam Petersena, on przepraszał mnie i wcale nie wyglądał na speszzonego. Teraz, już tyle dni po tych wydarzeniach, myślę, że jednak sport powinien premiować tych, którzy dochowują zasad, którzy nie łamią regulaminów. Cała sztuka karate polega na hamowaniu, a nie rozwijaniu złych instynktów. Kto nie umie panować nad sobą, musi być ukarany.
– Nagroził więc ciebie Oyama złotym medalem, był hymn i cudowny smak zwycięstwa. A teraz powiedz naprawdę, w czym widzisz sens uprawiania tej właśnie dyscypliny sportu, bynajmniej nie będącej zabawą dla maminsynków...
– Karate daje człowiekowi poczucie bezpieczeństwa. Nikt nie ćwiczy po to, by na kogoś napadać, wyzywać się na innych. Trening kształtuje cechy psychomotoryczne, uczy poszanowania przeciwnika i zasad kodeksu. Walka jest tylko sprawdzianem tego, czego się rzeczywiście każdy z nas

nauczył. To wspaniałe uczucie iść ciemną ulicą, albo w nocy po węgiel do piwnicy i nie bać się żadnego zaskoczenia, wierzyć w zdolność samoobrony. Siłę fizyczną natura daje nie każdemu. Ale żaden osilek nie da rady nawet wątłemu fizycznie człowiekowi, który poświęcił trochę czasu na rzetelne ćwiczenia dalekowschodnich sportów walki. To jakby uczyłowieczowało każdego z nas...
– Skąd się wzięły w tobie ciągłoty do tej akurat dyscypliny?
– Impuls miał miejsce bardzo dawno temu. Chodziłem wtedy chyba do trzeciej klasy. Mieszkalem daleko, w Indiach, w Kalkucie, gdzie ojciec przebywał na placówce. Kupił mi książkę o judo, pełną fascynujących zdjęć i rysunków. Postanowiłem, że następnego dnia po powrocie do kraju zapiszę się do takiej sekcji...
– A zostałeś najpierw gimnastykiem!
– Tak. To kwestia przypadku. Chodziłem do Szkoły Podstawowej nr 88 na Okęciu, przy ulicy Radarowej, a szkołą tą opiekowała się sekcja gimnastyczna stołecznej Gwardii. Zacząłem więc ćwiczyć co się dało. Miałem chyba jakieś zdolności ruchowe, bowiem dość szybko wykonywałem normy kolejnych klas sportowych i z powodzeniem występowałem w zawodach. Po ukończeniu ósmej klasy zdałem egzamin wstępny do Liceum im. J. Słowackiego przy ul. Wawelskiej, ale nie sądzono było mi tam uczyć się. Klub uznał, że mam zbyt duży talent i ulokował mnie w ośrodku gimnastycznym w Chylichach. Ćwiczyliśmy tam po osiem godzin dziennie, a wieczorami jeździliśmy PKS do wieczorówki w Piasecznie. Wyglądało na to, że zostanę raczej sportowcem i nikim więcej. Zrobiłem w tym czasie klasę mistrzowską-krajową, zdobyłem wiele medali, nawet złotych, w Spartakiadach Mł-

dzieży, byłem rzeczywiście niezły na koniu z lękami, w ćwiczeniach wolnych itd. I wtedy decyzja ministra rzuciła ojca znów za granicę. Tym razem na Węgry...
– Czy tam od razu zaczął się romans z karate?
– Ależ skąd! Chciałem już kontynuować gimnastykę, tylko że kluby budapeszteńskie nie bardzo były zainteresowane posiadaniem zawodnika obcej narodowości. Wreszcie zlitował się nade mną Honved, zacząłem treningi w ich sali przy Gyery ut.
– A co ze szkołą?
– Właśnie! W stolicy Węgier nie było żadnej polskiej szkoły. Zacząłem więc uczyć się do gimnazjum przy radzieckiej ambasadzie. Tam zdałem maturę po rosyjsku, a potem, po raz drugi musiałem ją zdawać składając egzaminy uzupełniające z języka polskiego, historii Polski i geografii w naszej ambasadzie przed specjalną komisją.
– Zyskałeś na znajomości kilku języków...
– Niewątpliwie. A jednocześnie w tym właśnie czasie udało mi się zdobyć brązowy medal w drużynowych mistrzostwach Węgier w gimnastyce. Honved wraz ze mną był trzeci za Ujpesti Dozsa i Spartakusem.
– Kiedy dojdziemy do karate?
– Już, już! Wstąpiłem bowiem na studia ekonomiczne w Instytucie im. Karola Marxa. Tam działała sekcja karate-shotokanu. Nie wahalem się ani chwili. Gimnastyka przestała dla mnie istnieć.
– Czy Węgrzy już coś umieli?
– Niewiele. Ale zabrali się do roboty z imponującym rozmachem. Po kilka razy w roku przyjeżdżały do nich silne ekipy z Europy Zachodniej mające znakomitych sensejów japońskich. Z drużyną RFN był kiedyś np. świetny trener Ochi (6 DAN), z Belgami przyjeżdżał Miyazaki (6 DAN). Ćwiczyłem



zapamiętałem i zaczynałem błogosławić gimnastykę, która dała mi świetne przygotowanie sprawnościowe do karate. W 1976 zostałem mistrzem Węgier i... powołano mnie do reprezentacyjnej drużyny Madziarów na mistrzostwa Europy w Essen. Przegraliśmy z kretelem, ale kiedyś trzeba zacząć.

– Polak Węgier, dwa bratanki... Rzadki to chyba przypadek w naszym sporcie...

– W jeszcze ważniejszej imprezie, bowiem w mistrzostwach świata w kyokushinie reprezentowałem raz jeszcze Węgry w 1979 roku w Japonii, mieszkając już, notabene, w Polsce.

– A właśnie! Kiedy przerzuciłeś zainteresowania z shotokanu na kyokushin i dlaczego?

– Z nowym stylem zapoznał mnie węgierski przyjaciel Istvan Adamy, który jak się okazało zdawał egzamin instruktorski w Polsce, u Andrzeja Drewniaka. Kyokushin był już w Polsce uprawiany, tylko że mnie nie było w kraju i nie miałem z nim wtedy jeszcze kontaktu. Potem zacząłem jeździć z Istvanem do Krakowa. Ale egzaminy mistrzowskie zdawaliśmy już przed samym prezydentem Europejskiej Federacji Kyokushinkai – Loekiem Hollendrem z Holandii.

– Pytałem, dlaczego postawiłeś jednak na kyokushin?

– To sprawa temperamentu. Nie mam nic przeciwko shotokanowi, ale jako karate bezkontaktowe nie daje tyle emocji, nie ma takiej dynamiki, jaka leży w moim charakterze. Są ludzie, którym z tych samych powodów bardziej odpowiada shotokan, pozornie bardziej akademicki, czysty. Szanuję ich upodobania, chociaż pewne rzeczy wymagają sprostowania. Otóż karate sportowe WUKO nakazuje np. noszenie ochraniaczy na ręce, bowiem tam dozwolone jest mar-



kowanie ciosów ręką w twarz, a często się zdarza, że cios markowany mocno trafia. U nas ochraniacze są niepotrzebne, ciosy ręką w twarz surowo zabronione, a jeśli się zdarzą, to są karane natychmiastową dyskwalifikacją. W kyokushinie, w full-kontakcie, uderzenia nogą nie są aż tak bardzo niebezpieczne, ponieważ: nie wolno kopać w stawy, trzeba nosić ochronne suspensoria, ochraniacze na piszczele i stopy, a poza tym po każdym trafieniu następuje przerwa, nie dochodzi do wymiany ciosów i bijatyki. Powiedziałbym po prostu, że kyokushin jest dla bardziej zadziornych chłopaków, a shotokan dla sportowców bardziej subtelnych, chociaż także odważnych i dziarskich.

– Jak wypadłeś w mistrzostwach świata w Tokio?

– Że! Nie było tam podziału na wagi i trafiłem od razu w pierwszej walce na potężnego Murzyna z USA Munroe. Carlos ważył 95 kg, a ja niespełna 70. Była to więc walka Dawida z Goliatem, tyle że bez użycia procy. Trzymałem się dzielnie, przegrałem tylko przez waazari za kopnięcie, którego nie potrafiłem uniknąć. Nawiasem mówiąc Munroe trafił mnie dokładnie w kolano, czego sędziowie nie zauważyli i nie powinni zaliczyć. Ale był on i tak wyraźnie lepszy i o nic nie mam pretensji.

– Co dalej zrobił w turnieju twój pogromca?

– W walce o finał przegrał z Walijszczykiem Howardem Collinsem, moim wielkim przyjacielem. Collins był już mistrzem Europy i świata, od wielu lat przyjeżdża na Węgry, by prowadzić obozy szkoleniowe kyokushinu dla Madziarów, Polaków i Bułgarów. W obozach tych bierze udział po 200 osób! Bywaliśmy także u Collinsa w Walii. Za-

wdzięczamy mu wiele, te pierwsze medale z ME także...

– Wspominałeś o swoich sukcesach na turniejach w Szolnok...

– Tak! Dzięki Węgrom uzyskaliśmy szansę kontaktu z czołową europejską. Startuje tam zazwyczaj po kilkanaście reprezentacji państwowych, wielką, piękną impreza. Zwyciężyłem tam w latach 1980 i 1983, tam też zdobywali medale Gwizdź, Liszewski i Mierzejewski.

– Czy byłeś w swej karierze mistrzem Polski?

– Tak, w 1980 roku, w Bytomiu, w wadze lekkiej.

– Dlaczego nie startujesz w mistrzostwach Polski WUKO, czyli karate wszechstylowym łączącym shotokan z kyokushinem?

– Mało który z naszego stylu chce w WUKO startować, bowiem trudno przestawić się z walki rzeczywistej na pozorowaną. Nie chciałbym kogoś niechętnie uderzyć, narazić się na zarzuty brutalności. Tym bardziej że już polknąłem bakcyla full-kontaktu.

– Gdzie obecnie trenujesz i co robisz w życiu prywatnym?

– Dwa trudne pytania! Trenuję sam, jako zawodnik, przeważnie gościnnie w sali liceum pod wezwaniem Świętego Augustyna, na godzinach opłaconych przez sekcję kick-boxingu AZS-ZSP Politechniki Warszawskiej. Po prostu wpuszcza mnie tam po koleżeńsku Andrzej Palacz, trener mistrza świata Piotra Siegoczyńskiego. Jeśli zaś chodzi o moją pracę trenerską, to prowadzę zajęcia w AZS „Banzai” przy Akademii Wychowania Fizycznego. Sprawa jest zawiślana – bowiem oficjalnie w AZS-AWF nie ma sekcji karate, ale są liczni zawodnicy, ze mną, czyli mistrzem Europy, do których

oficjalnie nikt nie chce się przyznać. TKF też, bo w TKKF nie uprawia się wyczynowego sportu. Godziny w salach ćwiczeń są prosto wyżebrane, korzystamy z chwilowych luzów lokalowych to tu, to tam.

– A co oznacza nazwa „Banzai”?

– „Niech żyje!”

– Nomen omen. Właśnie żyje. I zdobywa dla Polski medale. A gdzie jeszcze uczysz sztuki?

– W TKKF Muranów, TKKF Stado i w Wojskowej Akademii Technicznej...

– Czy miałeś czas na skończenie studiów?

– Tak! Ukończyłem SGPiS, teraz bronię magisterium. Był czas, że równocześnie studiowałem drugi fakultet – AWF. W 1981 roku ktoś zarządził, żeby takie petyki były niedopuszczalne, więc zacząłem ba teraz AWF od nowa.

– Czy jesteś żonaty?

– Nie było kiedy, ale kto wie, może i w tym roku...

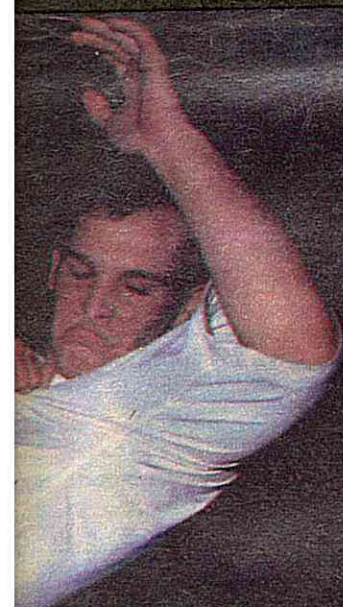
– Dziewczyny podarowały ci tyle la walerstwa?

– Tak się złożyło, mimo że panienek unikałem. Dużo i niezle tańczyłem, był nawet I Turniej Rock and Rolla im. Haley'a, byłem też w finale telewizyjnego turnieju tanca disco...

– I podobno swego czasu stałeś na biece w Stodole? Czy to o tobie Franek Kim śpiewa: „Na bramce stoję, nikogo się boję”?

– Być może, tyle że mnie już tam nie Trzeba było spoważnieć.

Rozma
JACEK ŻEMANTOW



demaskuje!

Prawda czy fałsz?



Mistrz Higa

SALA ZAMIERA.

Głośnie westchnienie, a potem świdrujący krzyk „kiiaai” i na dłoń, opartą pionowo o stos deszczulek spada gumowy młot. Deski pękają, publiczność bije brawo. Widowisko trwa. Po chwili miecz tnąc połówkę arbuza, nie uszkadzając piersi osoby, na której został położony. Artyści reklamujący się „mistrzami walki Dalekiego Wschodu” coraz częściej prezentują swoje umiejętności na arenach cyrkowych, przedstawieniach rewiowych, organizując własne spektakle. Scenariusz i dramaturgia są zazwyczaj podobne. Mistrz zbliża się do swoich rekwizytów, cichnie podkład muzyczny, artysta zamyka oczy, oddycha głęboko. Lodowe bloki ułożone są jeden na drugim. Gdy energia („ki”) jest już zebrana... kant dłoni po błyskawicznym zamachu spada na łód tnąc go równo, jak nożem, na połówki. Mistrz odwraca się do publiczności, kłania, odbiera owacje, zdaniem widzów zasłużone, co sugeruje widok spustoszonych brył lodu.

Czy jednak na pewno, to co widziała publiczność nie miało drugiego dna? Czy nie było tam po prostu kantu?

– Bez wątpienia – mówi mistrz Teruyuki Higa z Okinawy, posiadacz czarnego pasa, szóstego stopnia w karate kendo.

się również, że materia jest niedokładnie zawiązana i po chwili m dytacji czy koncentracji można doskonale zauważyć z boku, gdzie i jak uderzać.

Co do tych „lodołamaczy” mistrz Higa wyjaśnia. Łód przygotowywany do demonstracji jest nieco osłabiony, nadcięty lub po prostu niejednorodny. Bez wątpienia łatwiej taki blok rozbić. Bardzo często jest podzielony cieniutkimi przekładkami. Pomiedzy blokami lodu leżącymi na sobie, muszą być przerwy. Wtedy siła uderzenia w górny blok jest wielokrotniona przez kolejne bloki. Im większy jest odstęp, tym lepszy efekt. Ponieważ dalej blok uderza o blok, nacisk na ostatni jest największy. Po prostu zmienia się moment siły. Tak więc tylko górny blok jest naprawdę rozbijany i trzeba go preparować. Tu trzeba oddać sprawiedliwość niektórym silnym ludziom, bowiem efekt rozbijania górnego bloku lodu jest najbardziej wiarygodny. Tak więc można bez poczucia „wstrychnięcia na dudka” przyglądać się rozbijaczom bloków lodowych, jeśli owe bloki nie mają grubości większej niż 37 centymetrów. Ale pamiętać należy, że łód uczciwie bity popęka i pokruszy się, a nie rozleci na połówki!

– To samo dotyczy cegieł – ciągnie swój wykład mistrz Higa. Nikt nie chciałby mieszkać w domu z takiego budulca. Cegły wykonane są ze specjalnego materiału, łatwo pękającego, a ponadto wypalono je tak dalece, że nie ma w nich grama wody. Sposób ułożenia cegieł ma znaczenie identyczne jak przy sztuce z lodem. Przestrzeń pomiędzy cegłami jest kluczem do zagadki. Legendarny mistrz Oyama był w stanie rozbić dwie cegły położone jedna na drugiej bez przerw i odstępów. Jeśli ktoś rozbił i trzecią będzie to dowód, że widz padł ofiarą mistyfikacji, czyli mówiąc prosto, wciskany jest mu kit.

Demosi unikają publiczności japońskiej, doskonale przygotowanej do odbioru tych sztuk, i nie dającej sobie pokazywać rzeczy nieprawdopodobnych. Najwzdzięczniejsza publiczność to mieszkańcy Ameryki Północnej i Europy.

Wiemy, że zdolność łamania i rozbijania nieuzbrojoną ręką ma swoje granice. Można uwierzyć w łamanie desek – jednej lub dwóch przy użyciu techniki „latającej” lub przy użyciu stopy, gdzie są to deski prawdziwe, a nie odpowiednio spreparowane. Jeśli łamana jest większa ilość, to wiadomo, że są one czymś przedziwnym i im więcej desek „demos” złamie, tym większe musiały być przerwy pomiędzy nimi. Mistrz Higa łamie bez trudu dwie deski leżące jedna na drugiej.

– Łamie dziesięć, ponieważ amerykańska publiczność nie byłaby usatysfakcjonowana wątłym rezultatem. Używam prawdziwych desek, ale są przerwy. Rozbijanie kamienia również wymaga stosowania tricków. Najsilniejszy człowiek świata nie rozbiłby bloku skalnego bez stosowania pewnych sztuczek i mistrz Oyama, człowiek, na którego uczciwości można polegać nigdy nie podjąłby się takiego zadania. Kamienie rozbijają tylko niektórzy artyści, sami je sobie przygotowują i jest to, powiedzmy tajemnica ich warsztatu. Warto zwrócić uwagę, że rozbijane skały są kruche i mają postrzępione krawędzie. Podobnie jest z wschodnią sztuką ujarzmania ognia, który nie powoduje oparzeń. Polega to na szybkim działaniu i niezatrzymywaniu ciała na językiem ognia. Sekretem jest szybki ruch. A wiecie jak jest w popularnej sztuce ze strzałą? Energia „ki” ma powstrzymać grzybiny w szyję. Robi się to tak, że musi być on przyłożony dokładnie w miejscu, gdzie znajduje się niewielka kość. Oczywiście pchnięcie grota strzały w to miejsce powoduje pewien ból i przykre uczucie, ale jest to przykreść niewielka w porównaniu z osiąganym efektem i oklaskami publiczności. Ta sztuka dotyczy zresztą raczej fakirów niż karatek, podobnie jak łoża najeżone kolcami. Oczywiście jeden gwoździek wbijany w palec daje ostry ból, ale odpowiednie położenie się na pewnej powierzchni pokrytej gwoździami, przy jednoczesnym napięciu mięśni jest prawie bezbolesne. Ważne przy tym, aby gwoździe były duże i odpowiednio rozmieszczone. Mogę zapewnić, że gwoździe są prawdziwe. Trochę to boli, ale można wytrzymać.

To właściwie wszystko, co Higa miał do przekazania. Powodem tych wynurzeń jest ogromna fala oszustwa, zalewająca nasz kontynent. Nie chodzi tu – jak powiedział wcześniej – o ubawienie publiczności, ale o młodych ludzi, którzy zgłaszają się do demonstratorów, aby nauczyć ich zbierania siły „ki” dla osiągnięcia nadludzkiej mocy. A tymczasem są to zwykłe kanty. Prawdziwą siłę daje tylko sportowy trening.

Opracował
JAN OKULIC

Chęć zabrania głosu przez mistrza Higę bierze się z dwóch powodów. Pierwszy – to nienawiść do fałszu i oszukiwania publiczności. Drugi – z pewnością dla niego ważniejszy, wiąże się z odzieraniem szlachetnego sportu z dobrego imienia. Ci sensacyjni wykonawcy prostych „numerów” pokazują sztuczki w celu przyciągnięcia do swoich szkół jak największej liczby wyznawców i wyciągnięcia maksimum pieniędzy.

– Problem powstał już dość dawno – mówi Higa – ale nikt jakoś nie zajął się sprawą. Demosi, czyli rozbijacze lodu, łamacze desek, magicy miecza, prześcigają się, aby przyciągnąć publiczność. Mistrz „A” łamie dziesięć desek, mistrz „B” dwanaście i tak dalej. Pora więc zdemaskować te praktyki...

Demosi nieźle opanowali prawa fizyki i posługują się nimi w swoich sztuczkach z dużą wprawą. Prosty trick z rozcinaniem owocu na piersi „ofiary”, w pięknym samurajskim stylu, oczywiście bez zadrażnienia partnera. Sztuczka zaczyna się w chwili, gdy prezenter demonstruje ostrość miecza, tnąc papier czy kawałek materiału. Tymczasem owoc jest już przecięty wcześniej i trzyma się razem „na słowo honoru”. Miecz bardzo szybko puszczony nie dotyka nawet skórki arbuza, za to przy odpowiedniej demonstracji rozpada się, gdy ofiara wstaje cała i zdrowa. Podobnie jest z wyższym stopniem tej sztuczki, która wykonywana szybko i z odpowiednim przygotowaniem jest stuprocentowo bezpieczna. Czarna przepaska na oczach samuraja jest najczęściej kawałkiem płaszczyzny z jednej strony doskonale przepuszczającego obraz. Zdarza

Kolos pojawił się we Wrocławiu. Urodzony w 1966 roku, ma obecnie 204 cm wzrostu, a waży 110 kg. To, co uczynił w ciągu jednego sezonu na matach kraju i Europy było fascynujące. Z nieznanego chłopca stał się niemal z dnia na dzień kandydatem na najlepszego polskiego judokę wszechczasów, mającym predyspozycje porównywalne z fenomenalnym Japończykiem Yamashitą. Oto wyniki zawodnika, który nazywa się Rafał Kubacki, uzyskane przez niego w ostatnich dwunastu miesiącach:

- Mistrzostwa Polski juniorów – I miejsce,
- Młodzieżowe mistrzostwa Francji – I miejsce,
- Turniej Przyjaźni na Węgrzech – I miejsce,
- Mistrzostwa Europy juniorów (Szwajcaria) – I miejsce,
- Mistrzostwa Polski seniorów – I miejsce.

Zdarza się w sporcie że duże sukcesy osiągają zawodnicy, którzy do chwili rozpoczęcia treningów w danej dyscyplinie w ogóle się nią nie interesowali. Podobnie rzecz się miała z Rafałem Kubackim. Był dzieckiem rozwijającym się fizycznie lepiej niż dobrze. W okresie nauki w szkole podstawowej wyładował więc

w klasie o profilu sportowym, gdzie starano się z niego zrobić znakomitego pływaką. Owszem, w drugiej klasie podstawówki Rafał pojawił się raz na treningu judoków, lecz sport ten mu się nie spodobał. Uznał, że raczej już woli bić rekordy w basenie. Ćwiczył więc tak jak trzeba, z pełnym zaufaniem do trenerów i w klasie ósmej spotkał go

znaczący awans: trafił do pływakkiej Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Krakowie.

Młodzi ludzie mają nie tylko nieodgadnioną psychikę, ale także umiejętności spontanicznego reagowania. Nie minęło półtora miesiąca harówki i Rafał... uciekł do domu, do Wrocławia! Klepskie wyżywienie, zakwaterowanie w surowych warunkach internatu szkół chemicznych, zbyt męczące i przeraźliwie monotonne treningi, a przede wszystkim rozłąka z rodziną zrobiły swoje. Przez ten szkoleniowy eksperyment stracił w ogóle ochotę do pływania. We Wrocławiu już nie pojawił się na pływalni. Połknął na dobre bakcyla sportu, więc nie mógł siedzieć beczynnie, próbował to piłki ręcznej, to koszykówki, a wreszcie dał się namówić koleźce i poszedł z nim na trening do judoków wrocławskiej Gwardii...

Pamięta dokładnie, że było to 23 września 1982 roku. Początkowo przerażały go ciężkie upadki na matę oraz to, że można tak kimś rzucać jak workiem maki. Ale pod okiem trenera Jana Hurkota szybko wciągnął się w tę zabawę i zaczął robić błyskawiczne postępy. Już po kilku miesiącach ćwiczeń walczył udanie w lidze juniorów, a po dziewięciu miesiącach został powołany do kadry narodowej, oczywiście także juniorów.

Trener-selekcjoner Marek Rzepkiewicz również nauczył go wiele, a przede wszystkim umiał idealnie trafić z formą podopiecznego na najważniejsze imprezy. Kubacki zdobywał medale na Spartakiadach Młodzieży i na mistrzostwach Polski w swojej kategorii wiekowej, ale wśród krajowych młodzieżowców miał w wadze, w której startował dwóch starszych o 2-3 lata i mocniejszych rywali: Cezarego Wojniusza z Koszalina i Marka Giertyczkę z Bytomia. Pod koniec 1984 roku wygrał już z obydwo-

u wierzył w swoją szansę w judo i dla wykorzystania jej postanowił poświęcić bez reszty całą młodość.

Tak naprawdę przełomowy był dla niego ubiegły, 1985 rok. Przyniósł mu tyle sukcesów, że mogło się od nich zakręcić w głowie. Przybrał na wadze z 94 kg do 110 i przeszedł do wyższej kategorii. Wygrał mistrzostwa Polski juniorów, międzynarodowe młodzieżowe mistrzostwa Francji, młodzieżowy Turniej Przyjaźni w Debreczynie na Węgrzech i mistrzostwa Europy juniorów w Dörmont w Szwajcarii.

Te ostatnie zawody były dla Rafała wielkim przeżyciem. Po raz pierwszy w swej karierze startował w tak prestiżowej imprezie. Nasi działacze i trenerzy liczyli, że w Szwajcarii zdobędzie medal, tylko nie wiadomo z jakiego kruszcu. On sam również spodziewał się sukcesu, bowiem wcześniej oglądał na wideo ewentualnych rywali w akcji i nie wydawali mu się aż tak groźni. W pierwszej turze eliminacji mistrzowski los, a przed następnymi dwiema walkami spał się psychicznie. Jaksam mowi, robił w nich wszystko... i zarazem nic. Rozkojarzony i „zatykało” go z tremy. Dobiegł jednak do finału zawodów, w którym wreszcie władnym stylem przed czasem „rozwalił” utytułowanego reprezentanta NRD, Scherpinga.

W 1985 roku Kubackiemu wolno już było startować także w gronie seniorów. Stała się z tego powodu. Przegrany, prawda, na treningach ze swoim doświadczonym kolegą klubowym Wojciechem Falskim, lecz za to wygrał z nim (dość szczegółowo, to trzeba przyznać) w... finale mistrzostw Polski seniorów! To była duża niespodzianka dla wszystkich, również i dla Rafała. Po drodze do tytułu championa kraju pokonał też Wojniusza i Szabata przez ippon, zaś przez wazari samego medalistę ME Andrzeja Basika. Potem dorzucił jeszcze do kolekcji, wspólnie z pierwszym zespołem Gwardii, drużynowe mistrzostwo Polski i miejsce w plebiscycie czytelników wrocławskiego „Słowa Polskiego” na najlepszego sportowca Dolnego Śląska 1985 roku. I na jeden sezon wystarczy, prawda?

Kubacki twierdzi, że uprawia judo, go polubił tę dyscyplinę, dzięki niej ma szanse „być kimś”. I zwiedził wiele krajów. Na judo nie zapisał się ani po to, by nauczyć samoobrony i nie być bitym, ani żeby wyrzyszczać swoje zdolności pod budką z wem. Zresztą w takich miejscach się go nie spotyka. Uważa się za człowieka spokojnego, dzięki ufnosci we własną siłę. Stara się unikać sytuacji konfliktowych. W życiu należy być lisem i lwem. To jest maksimum.

W razie czego nie zawaha się oczywiście stanąć w obronie własnej lub kogoś napadniętego przez opryszków. Kiedyś np. przystanku tramwajowym młoda dziewczyna zaczepiona obcesowo przez trzech „flantów” typu figo-fago, zwróciła się o pomoc do Rafała i do stojącego z nim kolegi. Doszło do szarpaniny. Kubacki mrużąc oczy i robiąc przy tym niewinną minę opowiadał:

„Jeden z napastników poślizgnął się i o to nie wpadł pod autobus, drugi też rękę pecha, potknął się i wyładował na pobliskim trawniku, trzeci zaś... uciekł”.

No cóż, kolesie się nacieli, chociaż prawdę trzeba być idiotą, żeby „startować” do Kubackiego mierzącego 204 cm i wadzą ponad 100 kg.

Rafał Kubacki, z lewej i Marek Świątek oprócz medali przywieźli ze Szwajcarii oryginalne miecze samurajskie.



Rafał jak Yamashita

Wiadomo, że dzisiaj większość ludzi uprawia wyczynowy sport również dla pieniędzy, a nie tylko dla przyjemności. Dla Rafała pieniądze, przynajmniej na razie, są sprawą drugorzędną, choć nie taką najmniej ważną. Obecnie mając krajową klasę mistrzowską otrzymuje on 19 tysięcy złotych stypendium i pewną sumę na dożywianie w postaci bloczków uprawniających go do korzystania z darmowych posiłków w restauracji. Żeby nie bawić się w buchalterię: za jeden przepracowany trening może zjeść niezły obiad w porządnym lokalu.

Takie potężne chłopisko wypalające organizm na treningach musi pochłaniać ogromne ilości strawy i napitku, by zregenerować siły. Nie tak dawno Rafał zajął do restauracji wrocławskiego hotelu „Monopol”, a ponieważ nie był tak głodny jak zwykle, więc zjadł tylko podwójne porcje tatarsa, barszczyku z pasztecikiem, schabowego, frytek i surówki. Na deser zamówił lody i popił wszystko karafką soku owocowego. Uff!

Kubacki stołuje się w lokalach wtedy, gdy ma bloczki, żeby odciążyć rodzinny budżet. Najbardziej jednak lubi kuchnię domową, szczególnie w wydaniu własnej mamy. Uwielbia przyrządzane przez nią kluski na parze, podobne do czeskich knedliczków, w kształcie bułeczek. Spożywa się je z sosem i z mięsem lub z... jagodami. Pije też mnóstwo płynów, najchętniej sok z marchwi. Potrafi się delektować dobrym, markowym piwem, lecz wódki i innych używek nie uznaje. Picie gorzałki i palenie papierosów uważa za zabójstwo dla sportowca. 14-15 tysięcy złotych z całego stypendium Kubacki przeznaczą na jedzenie. Ma tylko jedną, „normalną” kartkę, lecz zawsze coś się dokupi na boku.

Mieszka z rodzicami, babcią i młodszą siostrą również uprawiającą z zacięciem judo w Gwardii, w czteropokojowym mieszkaniu na Nowym Dworze we Wrocławiu.

Rozkład dnia „pracy” młodego mistrza judo może przerazić nawet ascetów. Pobudka przed dziewiątą rano. Potem śniadanko, przeważnie jajecznicą i kanapki. 30-minutowy dojazd autobusem na ćwiczenia do hali Gwardii, względnie prawie godzinna podróż na bardziej odległy Stadion Olimpijski. Od godz. 10 do 12.30 trening. Po nim drugie śniadanie w klubowej kawiarence, a najczęściej dopiero obiad o godz. 13-14 w domu, restauracji lub u cioci. Chwila oddechu i gonitwa na zajęcia do liceum wieczorowego trwające od godz. 14.45 do 19.15. Po powrocie do domu odrabianie lekcji i o godz. 23 „słusiu, paciurek i spać”. Przez dwa lata Rafał uczęszczał do liceum dziennego, ale kolidowało to z wyjazdami na zawody i obozy. Musiał się przenieść do wieczorówki, gdzie ma więcej swobody i korzysta z ulg.

Czy kiedykolwiek ma czas dla siebie? Oczywiście, przecież nie każdy dzień jest tak przeładowany zajęciami sportowymi i szkolnymi. W wolnych chwilach spotyka się ze swoją o rok młodszą sympatią Asią, która jak na dziewczynę jest również wysoka. Mierzy 176 cm. Asia odwiedza czasem Rafała na obozach judoków, a we Wrocławiu odbijają sobie rozłąkę tańcząc przez całą noc na ulubionych dyskotekach w Igloo, Indixie, byle nie w nawiedzanej przez tzw. elementy Piwnicy Świdnickiej. Na pytanie o ideał kobiety, młody człowiek odpowiada poważnie:

– Podobają mi się tzw. kobiety – wampy, lecz posiadające pewną dozę taktu, zrozumienia i zainteresowania dla tego, co robię.

Kubacki, gdy ma trochę czasu rozsmakowuje się w muzycznej twórczości Leonarda Cohena i słucha... dyskotekowych przebojów. Jego ulubione zespoły to Electric Light Orchestra i Modern Talking. Zachwyca się również... walcami Straussa. Nie trawi natomiast jazzu. Do tej pory dysponował magnetofonem kasetowym i całą tzw. dużą wieżą z Dzierżoniowa. Ostatnio sprawił sobie gramofon japońskiej firmy „Sanyo”

i chce skompletować dyskografię grupy ELO.

Dawniej, kiedy nie był obciążony tyloma obowiązkami, rozczytywał się w pisarstwie Jamesa Jonesa. Jednak największe wrażenie wywarła na nim książka pt. „Tylko dla orłów” oraz film nakręcony na kanwie tej powieści. Do kina chodzi tylko na wybrane, najlepsze obrazy, lub na te, w których występuje jego ulubiona aktorka Catherine Deneuve. Zresztą ona z reguły gra tylko w dobrych filmach. Nad operę i filharmonię Rafał przedkłada wszelkie formy kabaretowe. Telewizję zaś ogląda bardzo rzadko, głównie audycje sportowe.

Niegdyś jego wielką pasją były eksperymenty z hodowlą rybek w 30 akwariach trzymanych w piwnicy. Traktował to jako zabawę, lecz zarzeka się, iż są tacy, którzy na akwarystyce potrafili nieźle zarobić. W 1984 roku musiał się już poważnie zdecydować: albo rybka, albo wyczyn sportowy. Sprzedał swą kolekcję. Pozostało po niej 30 pustych zbiorników z odpowiednim wyposażeniem. Może kiedyś...

Jeśli chodzi o plany i marzenia sportowe, to Kubacki bardzo liczy na medal na najbliższych, młodzieżowych mistrzostwach świata. Może nawet na złoty. Kto wie, co się wydarzy? Sprawą jego ambicji jest także obrona tytułu mistrza Europy juniorów. Chciałby również wystartować w jakimś poważnym turnieju zagranicznym w konkurencji seniorów.

Zawodnik Gwardii Wrocław zdaje sobie sprawę ze swoich sporych braków w technice. Wszak ćwiczy judo stosunkowo od niedawna. Przyszłość przed nim. Jest sprawny ruchowo, inteligentny, a w klubie trenują go wyśmienici fachowcy Jan Hurkot, Henryk Klecha i Stanisław Siewior. Na obozach kadry narodowej juniorów doskonalili swe rzemiosło pod okiem nie wymagającego rekomendacji Marka Rzepkiewicza.

Dostał też powołanie do kadry seniorów, z czego się ucieszył, gdyż Mistrz Zieniawy jest wspaniałym nauczycielem właśnie techniki walki i potrafi zachęcić do pracy na macie, jak mało kto. Na pierwszy obóz do Zakopanego Kubacki nie pojechał, bowiem miał kontuzjowany bark. Uważa, że musi być stuprocentowo zdrowy, by coś skorzystać z harówki u Zieniawy. Po wizytach u fizykoterapeuty wybiera się na następne zgrupowania.

– Może niedługo zobaczę Japonię? – zastanawia się.

Wytoczył sobie jasny i ambitny cel: pragnie zdobyć tytuł mistrza świata seniorów. Gdyby udało mu się to zrealizować, wówczas... zrezygnowałby z międzynarodowej kariery! Zająłby się szukaniem i szkoleniem następcy nie gorszego od siebie. Ciekawe. Przecież tego tak zżęcznie unikają dzisiejsi nasi utytułowani judocy. Rozpocząłby także uprawiać zawodniczo kulturystykę, wróciłby do swoich rybek, a może zająłby się dodatkowo fotografią.

Będzie się ubiegał o indeks AWF na kierunku trenerskim ze specjalizacją judo. Po drodze chciałby również „zaliczyć” fizykoterapię. Jeżeli jego wysiłki przyniosą efekty także i finansowe, obiecuje wspomagać materialnie siostrę i rodziców, którzy wspierają go zawsze we wszystkim. O zakładaniu własnej rodziny na razie nie myśli.

– Ja jeszcze psychicznie dojrzewam, nie czuję się w pełni ukształtowanym, dorosłym człowiekiem – mówi. – Uważam, że jeżeli zbyt młodzi ludzie pobierają się, to sami robią sobie krzywdę.

Nie ulega wątpliwości, iż Rafał Kubacki młody, skromny i piekielnie ambitny człowiek osiągnął w sporcie już wiele, jak na swój wiek. Ciekawe czy wrocławianin stanie się w ręku Mistrza Zieniawy prawdziwym asem na miarę Yamashity?

BARTŁOMIEJ CZEKAŃSKI

JACEK K. MLECZKO

Emancypantki

Nadchodzi pełna emancypacja. Od przyszłego roku międzynarodowe władze judo planują wspólne dla kobiet i mężczyzn (jeden termin!) rozgrywanie mistrzostw Europy i świata. Za miejsca debiutu nową formułę wybrano Essen i Paryż. Ten fakt na pewno cieszy JACKA SKUBISA, trenera kadry narodowej polskich dziewcząt w kimonach. Poza tym, mimo dobrej prasy, jaką od roku mają zawodniczki Skubis jest kilka problemów do szybkiego rozwiązania.

Po pierwsze Skubis przestrzega, aby zbyt szybko nie uznawać nas za potęgę w tej dyscyplinie sportu. Owszem takie zawodniczki jak, w kolejności wagi, Joanna Majdan, Maria Gontowicz, Bogusława Olechnowicz, Jolanta Marszałek, Maria Litwinowicz i Beata Maksymow są już na stałe w europejskiej czołówce, jest przebogate zaplecze, ale ilość nie zawsze przechodzi w jakość. Białostockie mistrzostwa Polski wręcz eksplodowały ilością zgłoszeń, publiczność przez dwa dni okupowała salę, ale...

Kobiece judo na świecie emancypuje się. I to dość słownie. O ile dotychczas na macie królowała technika, fincja i ambicja, to obecnie coraz większego znaczenia nabierają takie cechy, jak siła i wytrzymałość, które nigdy nie były zbyt silną stroną Bogusław Olechnowicz i innych. To oczywiście ukłon w stronę trenerów klubowych oraz ludzi odpowiedzialnych za opiekę lekarską nad zawodniczkami. Judo jest bowiem jedynym „kontaktowym” sportem uprawianym przez panie. Nie ma natomiast choćby załączek systemu gwarantującego pełne rozeznanie w urazach i wśród judoczek i nie ma metod profilaktyki i leczenia. Na tradycyjnym turnieju we Wrocławiu tuż przed mistrzostwami Polski, wiele dziewczyn także z kadry, przyjechało na start w... trakcie leczenia antybiotykami, a coraz powszechniejsza staje się konieczność fachowej opieki ginekologicznej. Jednak do tej pory nie ma jednego specjalisty, który orientowałby się w zależnościach pomiędzy treningami judo a kobiecymi schorzeniami...

Poza tym trzeba jeszcze bardziej „sfeminizować” to żeńskie sportowanie. Mimo obietnic olimpijskiego startu judoczek trener Skubis nie może oprzeć się wrażeniu, iż – mimo wszystko – jego sport jest traktowany w macierzystym związku trochę na do-czekkę. Nie da się ukryć, że połowa zarządu PZJudo to trenerzy prowadzący grupy męskie. I wcale nie tak odległe są chichoty na posiedzeniach tego kierowniczego gremium, gdy dochodziło do omawiania spraw kobiet. Nie ma bowiem zbyt dużo trenerek, dopiero pierwsze panie ruszają na kursy sędziowskie, zaczynają karierę społecznych działaczek. Na razie dochodzi do śmiesznych wypadków, jak we wspomnianym Wrocławku, gdy oficjalna waga odbywała się w sposób koedukacyjny, co miało następstwa dość osobliwe.

Poza Skubisem jest w Polsce tylko kilku trenerów zajmujących się wyłącznie damskim judo. Ale Jerzy Weland i Wiesław Hałaburda z Gryfa Słupsk, Andrzej Witkowicz z AZS Gdańsk, Ryszard Gołdziński z Zakładu Kielce i Stefan Bugajski z Jordana Kraków, Edward Faciejew z Opola i... kilku innych, to stanowczo za mała ekipa.

Obecny sezon zaczął się dla dziewczyn Skubisa wyjątkowo udanie. Na marcowych mistrzostwach Europy w Londynie „Kruszyna” Beata Maksymow zdobyła złoty medal, Joanna Majdan i Maria Gontowicz brązowe (specjalną korespondencję z zawodów zamieścimy w następnym numerze „Budo”). Było jeszcze kilka szans na dobre miejsca. A o sukcesy było trudniej niż rok temu w Landskronie, gdyż rywalki często przygotowywały się specjalnie właśnie do walk z Polkami, odpadł element zaskoczenia. Tym cenniejsze są trofea zdobyte w pięknej sali Crystal Palace, zaś praktyka wykazała, że wybrano prawidłową drogę szkolenia. Ale...

W tym roku pora zastanowić się, co dalej z dziewczynami Jacka Skubisa. Wypracowanie długofalowego planu pracy, określenie perspektyw i warunków przygotowań powinno być jednym z podstawowych zamierzeń, sprawnie przecież pracujących, władz PZJudo. Przecież, tak właściwie, to nie powinno w nim być podziałów na problematykę kobiet i mężczyzn. Judo jest przecież jedno...



Zaraz będą „plecy”...



Wiesław Hałaburda, Jacek Skubis i Jerzy Weland, od lewej, dobrze znają się na kobietach.

Zaciętością w walce kobiety przewyższają panów...



W parterze nie ma odpoczynku. Na górze Bogusława Olechnowicz

Zdjęcia: MAJA SOKOŁOWSKA-MICHAŁSKA

MISTRZOSTWA POLSKI Kobiet w JUDO

Białystok 26-27.01.1986
WYNIKI

48 kg: 1. Małgorzata Roszkowska (Gwardia Białystok), 2. Beata Czaban (Gwardia Stupsk), 3-4. Małgorzata Gancarz (Polonia W-wa) i Małgorzata Codello (MKS Lublin);
52 kg: 1. Joanna Majdan (AZS Gdańsk), Edyta Jędrasik (Zak), 3-4. Iwona Rac (Polonez) i Rozalia Kalita (Gwardia Opole);
56 kg: 1. Ernestyna Matusiak (AZS Wrocław), 2. Lucyna Moczek (Gwardia Bielsk-Biała), 3-4. Marzena Kostrzewa (Gwardia) i Magdalena Szewczyk (AZS UW Warszawa);
61 kg: 1. Bogusława Olechnowicz (Gwardia Białystok), 2. Sabina Dyrda (AZS WSI Opole), 3. Magdalena Wiedeńska (Pelikan Łowicz);
66 kg: 1. Jolanta Marszałek (Gwardia Wrocław), 2. Jolanta Poświat (Budowlani Sosnowiec), 3. Iwona Basaj (Gwardia W-wa);
72 kg: 1. Mariola Giza (Gwardia Bielsk-Biała), 2. Stefania Drzewiecka (Gryf), Marta Cudnik (AZS Poznań);
+72 kg: 1. Beata Maksymow (GKS Jastrzębie), 2. Beata Bartosik (Radomiak), Agnieszka Dziedzic (MKS Siedlce);
Open: 1. Maksymow, 2. Olechnowicz, 4. Gabriela Kaczyńska (Gwardia Szczecin) i Małgorzata Śliwa (AZS W-wa).
Walczone systemem pucharowym i repasaży.



Antoni Reiter 1950 – 1986

Dziesiątego lutego zmarł w Gdańsku Antoni Reiter, judoka.

Przez całą karierę związany z GKS Wybrzeże osiągnął wiele znaczących sukcesów, które pamiętamy do dzisiaj. Największy triumf odniósł w roku 1975 w Lyonie zdobywając tytuł, pierwszy dla barw narodowych, mistrza Europy. Ponadto wywalczył brązowy medal mistrzostw świata (1973), srebrny (1974) i brązowe (1975/76) w turnieju drużynowym. W roku 1974 był akademickim wicemistrzem świata, trzykrotnie stawał na najwyższym podium krajowych championatów...

Odszedł niespodziewanie. Jeszcze pod koniec listopada ubiegłego roku widzieliśmy Go obok maty w czasie gdańskiego turnieju ligi indywidualno-drużynowej. Cieszył nas fakt, że Antoni próbował wrócić do spraw sportu, któremu poświęcił tyle lat życia. Zaczął społecznie prowadzić zajęcia w swoim Wybrzeżu, chciał działać. Widział wiele rzeczy do zrobienia, dyskutował o różnicach pomiędzy tym dawnym judo, a współczesnym...

Był zawodnikiem niezwykle. Miał poważne podejście do swoich zawodniczych obowiązków, chociaż nigdy sport nie był jedyną treścią jego życia. Miał dystans do tego, co robi na macie; równolegle z obowiązkami kadrowicza kończył studia elektroniczne na Politechnice Gdańskiej. Gdy nie mógł już startować rozpoczął pracę w wyuczonym zawodzie.

Historia kariery Antoniego Reitera to również historia kontuzji, walki z bólem i cierpieniem. Najgorsze zaczęło się zaraz po igrzyskach olimpijskich w Montrealu. Poważne schorzenie kręgosłupa, ciężka operacja, miesiące leżenia w gipsie, wyciągi, chwile załamania.

To się już skończyło. Trudno będzie pogodzić się z myślą, iż w środowisku polskiego judo nie ma już Antoniego Reitera. I trudno będzie w przyszłości wskazać tak świetnie wyszkolonego zawodnika, walczącego z matematyczną dokładnością, finezyjnie i skutecznie.

Antoni Reiter otrzymał kiedyś od kolegów oryginalny pseudonim. Nazwano Go „Kobra”, a to z racji słabego wzroku, gdyż z okularami rozstawał się wyłącznie na macie. Był lubiany, miał autorytet, przyjaciół...

Żegnaj „Kobra”!

– Kieruje pan związkiem sportowym, który w rozliczeniach za ubiegły rok zebrał, jak mało który dużą porcję zasłużonych, pochlebnych ocen. Były przecież medale Waldemara Legienia i Andrzeja Basika zdobyte na mistrzostwach Europy w Hamar, był brąz Wiesława Błacha na światowym championacie w Seulu, Rafał Kubacki został mistrzem kontynentu juniorów, kobiety odniosły w Landskronie prawdziwy triumf... O tych sukcesach było głośno i są one powszechnie znane. Czy równie znana jest postać prezesa Waldemara Sikorskiego?

– Wcale nie musi! Chociaż sądzę, że zaszkarbiliem sobie zaufanie środowiska, jeśli to właśnie mnie rok temu powierzono ono funkcję szefa polskiego judo...

– Waldemar Sikorski jest...

– ...człowiekiem czterdziestodwuletnim, absolwentem warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego z roku 1959. Do roku 1962 byłem czynnym zawodnikiem, występowałem w kategorii do 80 kilogramów. Walczyłem z przeciwnikami i z ciętymi... kontuzjami kolana. Te kontuzje były pozostałością po bujnej karierze... gimnastyka. Tak jest! Trenowałem kiedyś gimnastykę w Legii, dochodząc nawet do klasy mistrzowskiej. Ale potem było już tylko judo.

W 1963 roku wstąpiłem jeszcze na uniwersytet, Wyższe Studium Języków Obcych, co do dzisiaj procentuje, a cztery lata później byłem już trenerem naszej kadry narodowej judoków. Długo, bo aż do zakończenia moskiewskiej olimpiady. Potem pracowałem w GKKFIS, zaś obecnie kieruję Zakładem Teorii w warszawskim Instytucie Sportu. I to są wszystkie tajemnice życiorysu prezesa...

– Chciałbym, żeby pan, jako działacz związany od blisko trzydziestu lat z polskim judo podzielił się z Czytelnikami naszego magazynu swoimi refleksjami o Japonii. Wokół tego kraju, ojczyzny wielu sportów walki, nagromadziło się wiele mitów. Czy dalej mają one rację bytu, jak się miewa współczesne judo w Kraju Kwitnącej Wiśni? I wreszcie, jak wyglądały i wyglądają kontakty Polaków właśnie z Japonią?

– To są bardzo obszerne i czasami skomplikowane sprawy...

– Wielokrotnie podróżował pan do Japonii. Kiedy to się zaczęło?

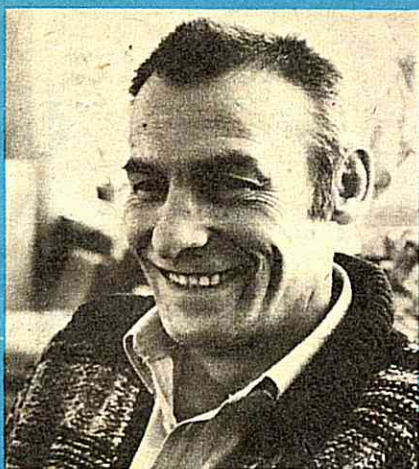
– Wie pan, to teraz brzmi trochę niepraw-

dopodobnie, ale nasza pierwsza sportowa wizyta w Japonii miała miejsce dopiero w 1975 roku. A więc już po naszych pierwszych polskich sukcesach w mistrzostwach Europy, po monachijskim srebrze Antka Zajkowskiego. Chociaż tęsknoty i zainteresowania Nipponem były w naszym środowisku tak stare, jak historia PZJudo. Zawsze były lektury, fascynacja legendami o tym, jak trenują i co wyprawiają na tatami Japończycy. Byli niepokonani, dawali wzory techniki, uczyli filozofii judo. Odczuwaliśmy strach przed pojedynkami z nimi. Z reguły kończyły się dla nas dość szybko. Minęły całe lata, zanim „oswojono się” z Japończykami. Chociaż, według mnie, jednak pozostało coś z takiego nastawienia i to nie tylko u naszych reprezentantów. Ale miałem mówić o bezpośrednich kontaktach i ich historii.

Otóż zaczęło się to wszystko pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy kierownikiem wyszkolenia związku był Janusz Pawluk. To między innymi jego zasługa, iż Japończycy pierwsi przyjechali do Polski. Początkowo były to krótkie pobyty szkoleniowe takich mistrzów jak Ogino, Maraki czy Matsushita. Wreszcie w 1969 roku zawitał instruktor, który właśnie kończył karierę zawodniczą i występował w roli „demonstratora”. Był to wtedy dwudziestopięcioletni Hiromi Tomita. Bardzo ciekawa postać, której zawdzięczamy wszyscy tak wiele. Tomita miał przygotować naszą kadrę do igrzysk olimpijskich roku 1972 i istotnie wyjechał dopiero po Monachium. Sam potrafił rzucić na matę każdego z Antkiem Zajkowskim i Czeskim Kurem na czele. Żelazna postawa, technika i diabelnie ciężka praca. Tomita, ja i dziesięciu zawodników stworzyliśmy w roku 1970 ośrodek olimpijski w Oliwie. Potem, ta sama grupa stała się czymś w rodzaju objazdowego „cyrku”. Jeździliśmy po kraju robząc szkoleniowe obozy w coraz to innym mieście. Tymczasem Tomita chodził do naszej „podstawówki” i nauczył się języka polskiego, a zawodnicy angielskiego. Odjechał w 1972 roku. Żegnany z żalem, wspomniany do dziś, chociaż nie brakło głosów, że poza medalami Zajkowskiego, jego praca nie dała zbyt olśniewających sukcesów... To jednak był prawdziwy fachowiec. Połowę pensji brał w złotych, a połowę w... dolarach. To niestety nie były ekstra warunki, gdy na przykład jego znajo-



Rozmowa
z prezesem
Polskiego
Związku Judo,
WALDEMAREM
SIKORSKIM



my mistrz Nakatani, pracował równolegle w RFN, zarabiał wiele więcej, ale... wyników nie miał żadnych. Tomita wyjechał z Polski aż do Puerto Rico. Mieszka tam do dzisiaj. Wiele już nie zwojował...

– Przyszła potem pora, żeby trener Sikorski powiódł naszą czołówkę do Tokio?

– Tak! Był to rok 1975. Byliśmy już znani na arenie międzynarodowej, pomógł nam sam Isao Kano i w październiku, wraz z dzieśięcioma zawodnikami, a byli wtedy wśród nich Zajkowski, Adamczyk, Reiter, Bielawski i Lewin, wyprawiłem się do Japonii. Na przeszło miesiąc, w gościnę do Kodokanu i na uniwersytety. W portfelu miałem... 11 tysięcy dolarów potrzebnych na opłacenie kosztów pobytu ekipy, a wszyscy dźwigaliśmy gigantyczne walizy, w których najwięcej było polskiej szynki w puszkach. Bo przed wyjazdem straszili nas różni „światowcy”,

że nie damy rady wyżyć na tamtejszym wikcie. Z tymi kuframi najwięcej kłopotu mieli bagażowi na lotnisku Haneda, a my dobrzy minami nadrabialiśmy niepewność przed pierwszym treningiem w ojczyźnie judo. Czego to wcześniej nie mówiono. Że Japończycy nie mają cienia szacunku dla przybyszów z Europy, że na zajęciach „napadają”, ba, że „rzucają po ścianach” i tak dalej...

– Krzywdy nie było?

– ...oczywiście, że nie. Przyjęto nas bardzo gościnnie. Gospodarze wielce się starali, a do walk sparingowych przeciw Polakom wystawiali swoich... najlepszych. Pokazano nam wiele, a my, już na własny koszt, pojeździliśmy trochę po kraju. Co tam zwraca uwagę judoki z Europy? Przede wszystkim ogromna motywacja, z jaką trenuje każdy zawodnik. Jakie stawia sobie rygory i jak

wielkim nakładem pracy stara się je zrealizować? Rok 1975 to już był czas, gdy zaczęła pękać bariera psychologiczna, powoli znikali strach przed judokami z Tokio. Jednocześnie właśnie wtedy, z kulminacją na olimpiadzie w Montrealu, japońskie judo było chyba najmocniejsze w historii. Bez prawa do przegranej. Dlatego to nie był przypadek, że ówczesny wielki japoński mistrz, pokonany w Montrealu, Minami, ujęty honorem, chciał popełnić rytualne *sepuku*. Aby do tego nie dopuścić, całą noc po porażce czuwali przy nim trenerzy Sekine i Okano.

– Kilkakrotnie słyszałem także pytanie: czy, aby stać się wielkim judoką, trzeba „prześląknąć Japonią”, przyswoić sobie elementy tamtej mentalności, filozofii, zachowań?

– Chyba nie, zaś geografia współczesnego judo zdaje się to potwierdzać. Jednak proszę zwrócić uwagę, że w naszym sporcie komendy na macie, zwyczajnie, ba, reguły treningu, zapis i zasady walki, są w stu procentach japońskie. Ale jednocześnie nie wiem, ilu „nie-Japończyków” poza matą hołduje zasadom wpajanych championom judo.

– Na początku roku 1986 był pan po raz kolejny w Japonii...

– Naszą drużynę zaproszono na tradycyjny turniej „Shoriki Cup”, organizowany przez japoński Akademicki Związek Judo. Ten ich „AZS” usamodzielniał się trzy lata temu, szefuje mu sam prezydent IJF, sędziwy pan Matsumae, i jest to organizacja nieco konkurencyjna dla Ogólnojapońskiego Związku Judo. To prawdziwa potęga, zrzesza... 260 uniwersytetów!

– Czy po dziesięciu latach wrażenia przybysza-działacza judo są inne?

– Nie! Sam sport się nie zmienił. I myślę oczywiście o sposobie treningu, o tych subtelnościach czy, modnym ostatnio, preferowaniu żelaznej wytrzymałości i siły kosztem finexji i techniki. W Japonii nie zmieniło się podejście do judo, skąd jego popularność. Dla każdego kto ukochał tę dyscyplinę, pobyt w kraju Yamashity i potwierdzeniem ogromnej siły tradycji, interesowania i ciągłej żywotności judo. Dzisiaj jest w Japonii ponad 200 tysięcy wodników ze stopniami mistrzowskimi (DAN), a dwa miliony ludzi ćwiczy dla siebie. Są to proporcje nie wymagające komentarza.

– A inne obserwacje?

– Chodząc po Tokio, czy Osace, widać, przez ostatnie lata podniósł się tam poziom życia. Z jednej strony jest nowoczesność: elektronika, Hondy i Yamahy, wideo i europejska moda. Z drugiej zaś ci sami ludzie uciekają od zgiełku, udogodnień cywilizacji i fundują sobie na przykład „weekend z do”; Uniwersytecki ośrodek, sobota rano, dużo ludzi w judogach, normalny trening pod kierunkiem instruktorów. To są w niedzielę. Ćwiczący przyszli tu na dwa dni trenując odpłatnie, śpią w sali w warunkach dalekich od luksusu. A w sali, choć zimno, dworze, pootwierane wszystkie okna. Ciężkość urządzona po spartańsku. W niedzielę wieczorem ćwiczący rozjadają się do domów w poniedziałek rano pojadą do pracy. I tydzień większość przyjdzie znowu...

– Po turnieju, na który pojechały zespoły z 11 państw, a wy zajęliście trzecie miejsce, był jeszcze tygodniowy pobyt na uniwersytecie Nittidai w Tokio...

– Bardzo pożyteczny dla Legienia, Fiwowskiego, Kurczyny, Szabaty i Kolanońskiego. Obok nich na matach... 100 trenujących. Ulubiona forma zajęć to oczywiście *kakari-geiko*. Na każdym kroku serdeczność, dyscyplina, punktualność. Serdeczność chyba stąd, że Polscy byli bardzo mocni na zajęciach, a z silnymi tutaj się liczą i szanują. Bo gdy Japończycy, a pokazali kłku nowych wspaniałych judoków, zapraszają do siebie gości, to wiadomo, iż po prostu trzeba się z nimi bić.

– Czyli ojczyzna judo trzyma się dzielnie!

– Nie chcę zawęzić refleksji do samego judo. Przykładem niech będzie wspomniany Nittidai. Jak usportowieni są tam studenci! Na korytarzach dziewczyny ćwiczą gimnastykę artystyczną, na boisku koszykówki i siatkówkę, a gra się do nocy, bo obiekty oświetlone. W parkach, szczególnie od 7 do 8 rano, istne szaleństwo biegania. No i duży chętnych do karate, zapasów i jednak przede wszystkim do judo!

– Czyli: warto jeździć czasem do Japonii?

– Dla naszego sportu może być ona wspaniałym. To jest zupełnie inny wymiar judo. Tam dopiero w pełni rozumie się ten rodzaj walki, rywalizacji, jej piękno i siłę. W tym roku będzie jeszcze jedna okazja, bo 1 października odbędzie się tradycyjny turniej Kano. Zaś w rok po igrzyskach w Seulu mistrzostwa świata prawdopodobnie przeprowadzone będą w Tokio... A przedtem, na sierpniowy Turniej Warszawski, silna grupa Japończyków przyjedzie do Polski.

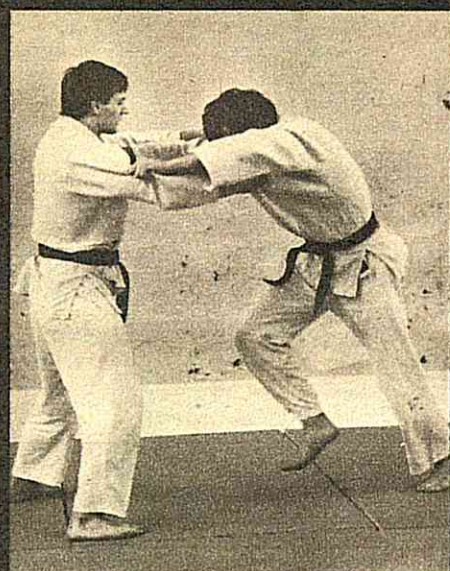
Rozmawia
JACEK K. MLECZKO



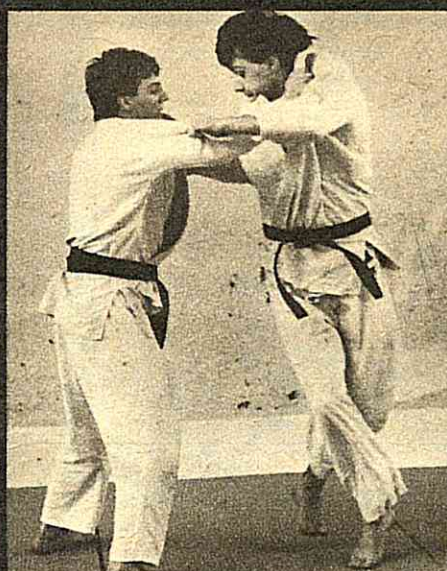
Od Tomity do „Shoriki”

O-soto-gari

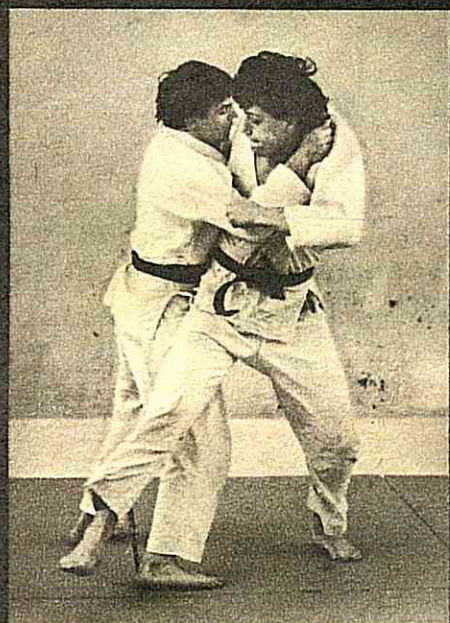
Kącik
szkoleniowy
pod redakcją
WALDEMARA
SIKORSKIEGO



1. Zawodnik atakujący (tori), ciągnąc rękami zbliża się do partnera (uke), skracając dystans. Uke w wyniku pociągnięcia wykonuje prawą nogą niewielki krok w przód.



2. Tori kontynuuje przyciąganie do siebie uke wykonując jednocześnie zakrok lewą nogą. Sugeruje to rzuconemu, że może być rzucony do przodu. W związku z czym reaguje w ten sposób, że odchylając się do tyłu przenosi ciężar ciała (środek ciężkości) bardziej w kierunku swoich pięt.



3. Tymczasem W. Legień (tori) gwałtownie naciera całym ciałem na przeciwnika ciągnąc jednocześnie prawą ręką w bok, a lewą (niewidoczną na zdjęciu) pchając w okolicy barku uke. Powoduje to wychylenie uke w tył w prawo. Noga tori wykonuje wymach do przodu.



4. Tori dalej, obciążając prawą nogę uke bez zmiany kierunku pracy rąk wykonuje podcięcie.



5. W czasie wykonywania rzutu tori kontroluje rękami lot uke.



6. Pchając rękami i górną częścią tułowia tori powoduje upadek uke na plecy oraz niemożność przekręcenia się go na bok. Tylko upadek na plecy lub na większą ich część, zaliczany jest przez sędziów na „ippon” – pełny punkt i kończy walkę przed czasem.

Zdjęcia: EUGENIUSZ WARMIŃSKI

Dr KRZYSZTOF
KONDRATOW

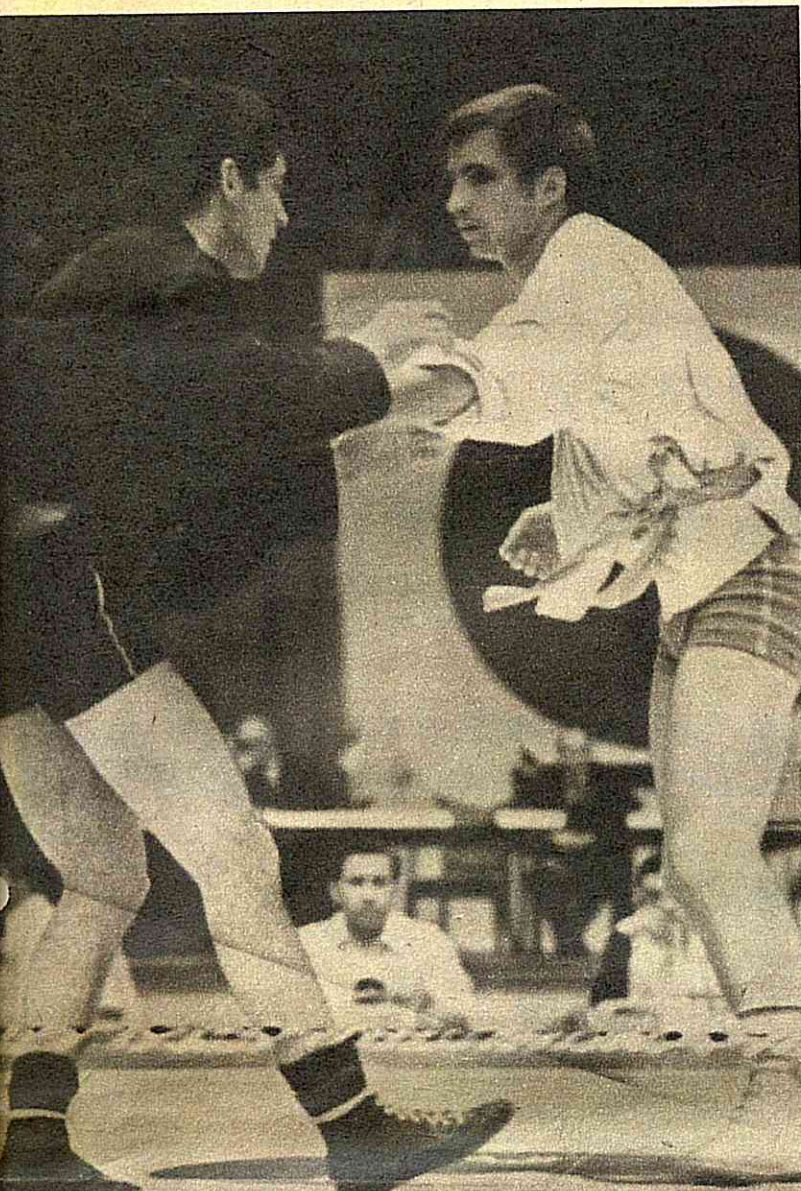
Wielu miłośników dalekowsch sportów walki, tych mniej rozczu w historii i lekturze fachowej są brzmiące z japońska „sambo” jest tu jedną z odmian judo, kendo czy I Ogromny to błąd, rozpoczynający w warstwie semantycznej. Sambo jest słowem sztucznym, po prostu pochodzącym z prozaicznego w początkowych liter określenia: SAM czyta Bez Orużja, co w tłumaczeniu z rosyjskiego na polski znaczy SAMOC Bez Orużja (czyli bez broni). Nietrudno teraz domyślić się, że ta forma walki dzieli się wcale nie z tak znów daleko, lecz bliskich nam terenów: ku Radzieckiemu.

Dzisiaj jest to już sport o zasięgu międzynarodowym, rozgrywane są od niego nawet mistrzostwa świata z udziałem krajów. A jak się zaczęło? Otóż walka „bo” stworzona została w ZSRR w trzydziestych jako połączenie technik dowych walk uprawianych w różnych krajach. Narody Związku Radzieckiego dawien dawna miały swoje, ludowe walki wręcz, noszące różne nazwy. M.in. u Gruzynów była to „czida”, u Azerbejdżanów „gjulesz”, u Osetów „koch”, u Uzbeków „kurasz”. Bardzo podobne i formy, i brzmienie miały walki w Tadżyków, Turkmenów, Kirgizów i Tiwińców, a więc: „kuresz”, „guszt” i znów „kuresz”. Było tego z dwadzieścia pięć odmian, rządzących się odmiennymi jakby regulaminami, pełnymi różnorodnych technik, chwytów, rzutów. Zdarzało się, że od zarania dziejów musieli walczyć bez broni, nigdy nie mogli z tej umiejętności zrezygnować ani w okresie luków i ranni po wynalezieniu broni palnej. Wręcz wymagała odpowiednich przygotowań, treningów, musiała więc mieć formę „symulowaną”, zabawową. Dzieląc sportowymi. Taką walką była oczywiście „Walka Rosyjska” znana w tym terytorium Wielkiej Rosji. I właśnie posłużyła jako podstawa dla sambo, włączając do arsenału swoich środków najcenniejsze i najsukcesowniejsze wschód i południe, w tradycjach sąsiadów.

Decyzję o stworzeniu walki sformułował w 1930 roku Wszechzwiązkowy Komitet Kultury Fizycznej, a pierwszą o nią zajął, która zajęła się jej upowszechnieniem, była „WSIEOBUCZ”, organizacja państwowa, przygotowująca obywateli do służby wojskowej. Był to okres, kiedy w szeregach Armii Radzieckiej zwracano szczególną uwagę na nauczanie walki wręcz. Duża skuteczność i praktyczne zastosowanie, bo sprawiły, że walka ta już w pierwszych latach swego regulaminowego funkcjonowania weszła nie tylko do armii, ale i do zresztą sportowych, konkretnie „młodzieży” (odpowiednik naszej Gwardii).

W 1930 roku sambo zostało włączone do programu nauczania studentów Centralnego Instytutu Kultury Fizycznej w Moskwie i po kilku następnych latach tej uczelni opuściło wielu wykwalifikowanych specjalistów, trenerów obronnej sambo.

Tworząc walkę sambo na wzorach i tradycjach ludowych różnych narodów, włączając do niej wszystko, co było zawarte w niej, wszystko w niej zawarte ma służyć do



Mistrz świata w judo Chazlet Tleceri zanim osiągnął najwyższy poziom w tej dyscyplinie, był mistrzem sportu w sambo. Na zdjęciu słynny sambista-judoka w rozmowie z krajanami.

Zdjęcia: ARCHIWUM



rozwojowi fizycznemu i ogólnej sprawności fizycznej, a także powinno mieć walory wychowawcze, praktyczno-użyteczne i sportowe. Szczególnie duży wkład w rozwój sambo w ZSRR wnieśli: W. Andrejew, E. Czuma-kow, A. Charlampijew, W. Masłow, Ch. Ninaszwili, W. Oszczepkow, W. Spiridonow, J. Wasiliew. Ci instruktorzy walki wręcz w poprzednim okresie zajmowali się także nauczaniem japońskiego jujitsu i judo, amerykańskiej walki „wrestling” i francuskiej „savate” oraz zapasów wolnych. To co w tych walkach było pożyteczne, a jednocześnie odpowiadało nowo tworzonej rodzimej walce – zostało z nich wzięte i wykorzystane. Uczyniło to sambo jedną z najbardziej bogatych i najsukcesywniejszych walk wręcz na świecie.

Technika walki „sambo” liczy kilka tysięcy różnego rodzaju chwytów atakujących i obronnych. Sambo zawiera też wiele podstawowych chwytów i rzutów identycznych lub bardzo zbliżonych jak w technice judo, juj-itsu, walce wolnej zapasów, a nawet w aikido. W przeciwieństwie do judo, technika sambo nie zawiera chwytów duszących, natomiast dozwolone jest stosowanie dźwigni nie tylko na staw łokciowy i barkowy (jak w judo), lecz także na stawy nóg i kręgosłupa szyjnych. Walka sambo może być rozgrywana zarówno w pozycji stojącej, jak też w tzw. parterze – czyli w pozycji leżącej, na ziemi. W pozycji stojącej, w celu rzucenia lub obalenia przeciwnika stosuje się podstawianie lub podcinanie nóg oraz różne sposoby przetrzymywania przeciwnika na plecach, a także obezwładniające chwytów bolesne – czyli dźwignie na stawy. Walka sambo trwa zazwyczaj od 6 do 8 minut. Zawody sportowe w walce sambo przeprowadza się w dziesięciu kategoriach wagowych: do 49 kg, do 52 kg, do 57 kg, do 62 kg, do 68 kg, do 74 kg, do 82 kg, do 90 kg, do 100 kg, powyżej 100 kg.

Ubiór sambisty składa się z odpowiedniego kroju bluzy (podobnej do kimono judowego, lecz nieco krótszej), pasa, trykotowych spodenek oraz skórzanych trzewików specjalnego wzoru z miękką podeszwą.

Pierwszymi oficjalnymi zawodami w sambo, przeprowadzonymi w 1935 r. – były mistrzostwa Moskwy. W następnym roku zostały przeprowadzone zawody o mistrzostwo Leningradu, Charkowa, Kijowa, Saratowa i innych. Pierwsze międzynarodowe zawody sportowe między drużynami Moskwy i Leningradu odbyły się w 1937 r., a następne były już spotkaniami pięciu miast: Moskwy, Kijowa, Saratowa, Leningradu i Baku. W 1939 roku zostały przeprowadzone pierwsze zawody w sambo o mistrzostwo Związku Radzieckiego.

Wojna spowodowała na kilka lat zahamowanie rozwoju tej dyscypliny sportowej. Ale w czasie wojny „sambistom” radzieckim niejednokrotnie powierzano odpowiedzialne, trudne zadania bojowe, zwłaszcza w działaniach zwiadowczych, z których – dzięki znajomości walki – mogli wywiązywać się z honorem. Po zakończeniu II wojny światowej walka sambo mogła znów przenieść się rozwijać. W 1947 roku rozpoczęto regularnie organizować indywidualne mistrzostwa ZSRR, a od 1949 roku – mistrzostwa

grupy państw. Obecnie odbywają się roku. Całokształtem działalności w dziedzinie tej walki w ZSRR kieruje Federacja Wale Sambo.

Sambo dość długo nie było sportem międzynarodowym, chociaż wiele zagranicznych organizacji sportowych przejawiało duże zainteresowanie tą walką. Dopiero w 1957 r. doszło do pierwszego międzynarodowego spotkania radzieckich sambistów z zgrupowanymi w organizacji „Dynam” i „Buriewiestnik” z węgierskimi judokami. W spotkaniu tym zwyciężyli sambistom. Następne, przeprowadzone w latach 1957-1960 spotkania zawodników radzieckich z judokami Węgier i NRD zakończyły także ich zwycięstwami. Wreszcie w końcu 1962 roku doszło do sensacyjnego spotkania w Moskwie. Najwyżej notowana w Europie, reprezentacja judowa Francji stanęła naprzeciw sambistom radzieckim. Zawody te wzbudziły tak kolosalne zainteresowanie, że moskiewski pałac CSKA obliczony na 5 tysięcy widzów nie mógł zmieścić wszystkich chętnych. Zawody te, przeprowadzone według przepisów judo, zakończyły się zwycięstwem ZSRR 6:2. W rewanżowym spotkaniu w Kijowie zwyciężyli również sambistom identycznym wynikiem. Po tych porażkach judocy francuscy pojechali do Tbilisi, lecz i tam nie odnieśli zwycięstwa!

W 1963 r. doszło do niezwykle interesującego spotkania sambistów (Szulc, Bezaszwili, Stiepanow, Pankratow) z najlepszymi judokami świata, Japończykami. Pierwszy mecz w Maebashi zakończył zwycięstwem Japonii – 3:1. Drugi, w Kijowie zakończył się remisem – 2:2, trzeci w Jachamie wygrała drużyna ZSRR – 3:1. Czyli, poegnalny mecz w Tokio wygrała reprezentacja Japonii. Sambistom zwyciężyli ogółem wygrali indywidualnie 7 walk z 16 rozegranych, co uznano za sensowne w środowisku judo. Od tego czasu popularność sambo na świecie rosła bardzo szybko...

W 1967 r. w Rydze odbył się pierwszy, międzynarodowy turniej, a pięć lat później w tym samym mieście zostały przeprowadzone pierwsze, oficjalne mistrzostwa Europy! W 1972 r. w Teheranie odbył się – z udziałem reprezentacji 11 państw – pierwsze mistrzostwa świata, w których sambistom radzieccy zajęli oczywiście pierwsze miejsce. W 1978 r. w Hiszpanii w Caceres, został przeprowadzony „Puchar Świata”, w którym wzięli udział zwycięzcy kontynentalnych mistrzostw w tej dyscyplinie a więc zespoły: Hiszpanii, Japonii, Karaimów i Związku Radzieckiego. Zdobywcami tytułu zostali raz jeszcze twórcy tej dyscypliny.

Od redakcji:

W Polsce, nie wiadomo dlaczego, i dzisiaj jakoś nie wykazuje zainteresowania sambo, wybiera chętniej nawet najgłupsze wysublimowane, niepopulärne sztuki dalekowschodnie. Trochę szkoda, bo jest drugiemu nie przeszkadza, a praktycznie w sambo niejednego radzieckiego judokę doprowadziła na olimpijskie podium. Słabo, uprawiane dla urozmaicenia treningu równoległe z judo, może stać się dla zawodników dodatkową szansą zdobycia tytułu mistrza świata.

Co to jest sambo?

Manu

Ustawiaj tak biodro i ciało w linii, aby przeciwnik nie miał szansy trafić ciebie w momencie, kiedy rozpoczynasz atak. Zobacz, jak ja to robię. I zabierał go na kilka minut lekcji.

Manu wstawał wcześniej rano i ćwiczył przed lustrem w domu. Codziennie. Od razu też poprawiał błędy. Wprowadzał techniki nożne. Po kilku miesiącach zmierzył wysokość „mawashi”. Wydawało mu się że śni. Było 185 cm! O całe siedem centymetrów wyżej niż do tej pory. Pojechał na mistrzostwa Europy juniorów w karate. Przebił się do finału. W 1979 roku stanął na najwyższym podium.

Przyszedł czas mierzenia się z seniorami. Paryż 1982. Mistrzostwa Francji, tradycyjnie zwane „Pucharem Kraju Franków”. Na starcie cała czołówka światowa – Pyree, Serfati, Pittinella, Rugiero, no i oczywiście sam as nad asy – Domeque Valera. I ten słynny Valera odpada niespodziewanie w pojedynku z Pyree. Największa sensacja turnieju. Pinda dochodzi do finału. Co więcej – zwycięża! Pokonał brązowego medalistę z mistrzostw świata z Tajwanu w kategorii open – Jacquesa Tapola!

W gazetach nie napisali, że Pinda wygrał. Wszystkie tytuły na czele z „Karatekas” krzyczały: Tapol przegrał! Zrozumiałem wtedy, że wielkości nie zdobywa się jednym, nawet tak pięknym zwycięstwem. Wtedy właśnie postanowiłem, żeby wygrać wszystko, mistrzostwa świata, Europy, zwyciężyć przynajmniej jeszcze dwa razy w Pucharze Francji...

Niestety. Rok 1983 nie był dla Pindy łaskawy. Jego matka zachorowała na raka płuc. Wspólnie z ojcem czynili dosłownie wszystko, aby ratować chorą kobietę. Wzięli do najlepszych szpitali w Szwajcarii USA. Odkładane latami oszczędności stopniały do zera. Po kilku miesiącach musieli poddać się losowi. Nawet czyniąca ponoć cuda zachodnioniemiecka „Protekorena” nie pomogła. Śmierć matki bardziej ich zbliżyła. Częściej teraz rozmawiali, zwierali się z kłopotów. Manu jednak jakby się psychicznie podłamał. Przerwał treningi, zaczął unikać przyjaciół. – Nie zapomnij o tym, że nie możesz przestać trenować karate. Od dziś wszystko co robisz w życiu, przede wszystkim tam na tatami, robisz dla swojej matki. Pamiętaj o tym – przypomniał ojciec.

Już po kilku mocniejszych treningach wróciła dawna szybkość i gibkość ciała. Ćwiczył po cztery, pięć godzin dziennie. Intensywnie, jak nigdy dotąd. Sauvin poprawiał błędy, sprawdzał technikę. Teraz nie lustro, nie szklana podłoga pomagały w ćwiczeniach. Wymierzone uderzenia ręką i nogą sprawdzały sprężyste worki, bokerskie gruszki i specjalne ruchome „makiwary”, zawieszane w trzech płaszczyznach na wysokości 140, 150 i 165 cm. „Mawashi-geri” Pindy sięga do 1,94 cm. Elastyczność róg Manu doprowadza do perfekcji. Szpanat podłużny i boczny to dla niego pestka.

Holandia, Maastricht 1984. Mistrzostwa świata:

– Na ten dzień czekałem bardzo długo. Przed zawodami liczyłem nawet godziny. Spodziewałem się, że w finale kategorii open znajdzie się mój klubowy kolega P. Rugiero. Od lat rywalizujemy ze sobą o miano najlepszego. Po raz pierwszy ja byłem faworytem.

Manu zaatakował „mawashi-geri” na jodan. Otrzymał waza-ari. Szybko uciekł z linii ataku i znowu „przykleił się” do rywala. Rugiero jakby na chwilę przestał walczyć. Postawił nogi w jednej linii i nagle... podcięty padł na planszę! Takie błędy Pinda wykorzystuje momentalnie.

Oslo 1985. Mistrzostwa Europy. „Manu” uchodził za faworyta w kategorii open. Po raz pierwszy decyduje się też na udział w kategorii superciężkiej. Przy jego wzroście i wadze zawsze równej 84 kg, mógł sobie pozwolić na taką decyzję.

– Zdecydowałem, że będę startować w obu tych kategoriach. Miałem dobre zdrowie, przekonałem się na treningach, że mój organizm i psychika wytrzymują duże obciążenia. Lubię też ryzykować...

W kategorii superciężkiej Francuzi pozwolili sobie sprzątnąć „złoto” sprzed nosa. Przewidywano finał Pyree–Pinda, niestety żaden z tych Antylijczyków nie przekroczył zaczarowanego progu półfinału. Pinda walczył zbyt pewny łatwego zwycięstwa. Mimo prowadzenia z bojowym Hiszpanem Zazą aż 5:1 uległ mu ostatecznie 6:5!

– Mam spore zastrzeżenia do arbitrów – powiedział po walce. – Nie zaliczyli mi dwóch udanych kontr...

Glupio przegrany półfinał z Zazą wpłynął mobilizująco na mistrza świata. W ostatnim dniu zawodów, już w kategorii open, łatwo pokonał Norwega Erichsena, niemal „połknął” Szweda Pokorni i Holendra Josepę. W półfinale trafił na młodego dynamicznego Hiszpana Egeę. Ten Iberyjczyk – obok Pindy, Rugiera i Szkota Pata Mc Kay zaliczany jest do grona najlepiej zapowiadających się karateków młodego pokolenia. Ma dopiero dwadzieścia jeden lat. Wysoki, zwinny, dobrze wyszkolony technicznie. Nic też dziwnego, że ten właśnie pojedynek uważano za „prawdziwy” finał open. Nie zabrakło w nim wszystkich wspaniałości współczesnego karate sportowego. Od „mae-geri”, a skończywszy na „yoko” i serii technik obrotowych tzw. ura-mawashi. Trzyminutowa runda skończyła się remisem, ale w dogrywce dwa bezbłędnie wykonane „mawashi-geri” zadecydowały o sukcesie Francuza.

W niespełna trzy tygodnie po sukcesie w Oslo Emanuel Pinda zdobył w Paryżu po raz trzeci Puchar Francji. Pokonał D. Valerę, publiczność zgromadziła mistrzowi ogromną owację. Wstała z miejsc, długo biła brawo. Szczęśliwy Manu ukradkiem ocierał łzy. Ujął w dłonie puchar i obszedł z nim halę Bercy kilka razy dookoła.

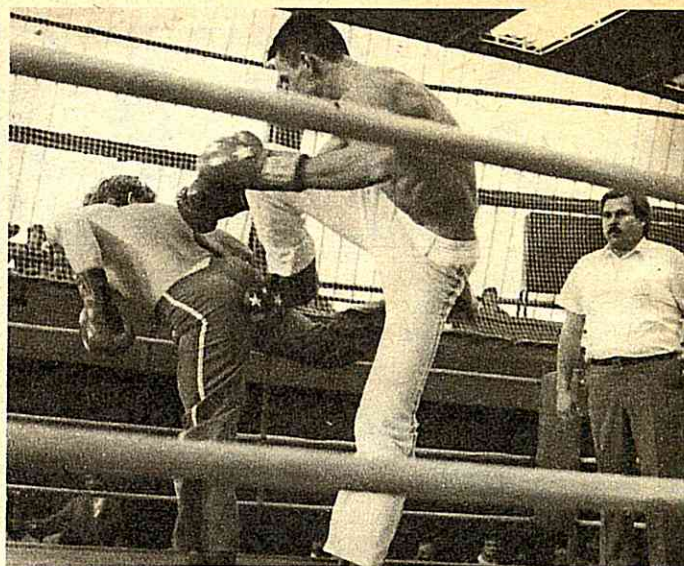
– To był najszcześniejszy dzień w moim życiu. „Paris Cup” to wspaniała sprawa. Przygotowywałem się do tego występu praktycznie przez sześć miesięcy. Zwycięstwo właśnie w tej imprezie znaczy dla mnie najwięcej i dlatego uczyniłem wszystko, ażeby przejechać tu w szczyt formy i potwierdzić, że Maastricht i Oslo to nie były moje ostatnie słowa...

W ten sposób Emanuel zrobił „wielkiego szlema”. Zdobyl wszystkie możliwe tytuły.

– Ten czekoladowy Francuz – oświadczył prezydent Europejskiej Unii Organizacji Karate – ma nie tylko najlepsze nogi, ręce, „mawashi”, „yoko” i „mae-geri”. Ma również najlepszą taktykę. Nikt tak inteligentnie nie walczy jak on. A przy tym, zawsze fair...

JANUSZ K. ARABczyk

SPRAWY DYSCYPLINARNE



Faul w Budapeszcie

Tak się nie godzi! Podczas mistrzostw świata amatorów w kick-boxingu, rozgrywanych w Budapeszcie jeden z rywali wykonał kopnięcie tak niefortunnie, że zamiast otrzymać dwa punkty został upomniany przez sędziego i wygwizdany przez publiczność. Dlaczego? Chyba to zdjęcie wszystko tłumaczy.

OBYCZAJE



Trzecia kobieta...

...pojawiała się na matce w czasie, słynnego już, turnieju we Włocławku. Dzielna sędzina z Belgii, pani Francine Leleaux była kiedyś czołową zawodniczką szwedzkiego kraju, teraz aktywnie działa w międzynarodowej federacji. „Skośne Oko” sygnalizuje ten fakt mając na uwadze konieczność wzmocnienia rangi naszego kobiecego judo. Apel do starszych zawodniczek: dziewczyny bierzcie się za sędziowanie! Jak emancypacja, to emancypacja!

WYMIANA ZAGRANICZNA

Kubuś samuraj

Ozdobą II Turnieju Kendo im. T. Swi-toniaka był kendoka z kraju samurajów, Gohian Kubo, zwany pieśczołliwie przez przyjaciół „Kubusiem”. Ma on zaledwie trzynaście lat, ale bynajmniej nie występował w roli maskotki. Zwycięsko wyszedł z trzech pojedynków z dwoma starszymi i dwoma cięższymi rywalami. Dopiero w półfinale nie starczyło mu sił w walce z rutynowanym Siewiczem. Japończyk otrzymał proste pchnięcie, czyli tsuki na bark w okolicy szyi, zamiast na głowę, chronioną drucianym „menem”. Widać było, że tradycyjny walczył z bólem i mimo determinacji nie wytrzymał do końca. Szerzej napiszemy o „Kubusiu” w następnym numerze.



Gostyński Nin-ja

Gostyński sensej Waldemar Szvedek sprawił nam niespodziankę zapraszając przedstawiciela „Skośnego Oka” na nocny trening, podczas którego ćwiczone techniki tokui-waza. W dojo było zupełnie ciemno, nie padło ani jedno słowo i jedynie co można było słyszeć, to subtelny szelest kimon podczas wykonywania tsuki i ker. Waldemar Szvedek jeździł po nauki do samego senseja Begetty, a dziś jest już posiadaczem 1 Dana uzyskanego przed Michele Aerdenem. Na zdjęciu W. Szvedek demonstruje użycie „bo”.

KAL



KĄCIK MODY

Czy to się przyjmie?

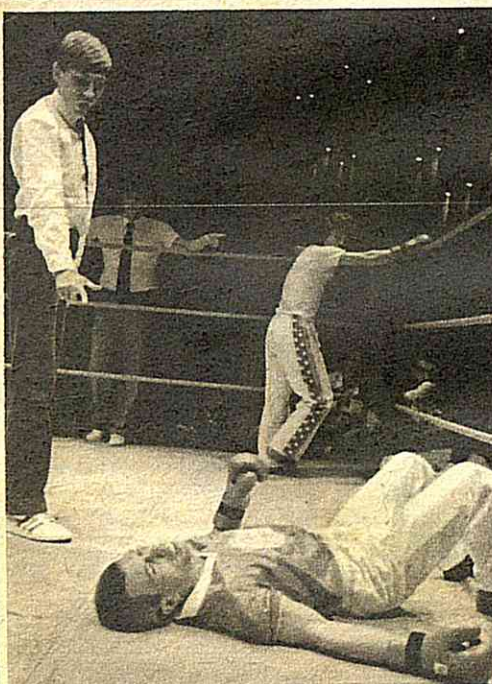
Pewną sensację na międzynarodowym turnieju judo pań we Wrocławiu wywołał strój sędziego. Pan Jan Ślowski, doskonale znany wśród ludzi w białych kimonach jako znakomity trener, działacz i sędzia, współzałożyciel AZS Siobukai Warszawa, zademonstrował nowy rodzaj okrycia głowy. Podobno panie walczyły tak zajadle, że czasem zdarza się im nawet atakowanie arbitrow. Najlepszą ochroną byłby hełm, ale dobrze uszytywniony od spodu kapelusz też może spełnić swoją rolę...



NIEDYSKRECJE

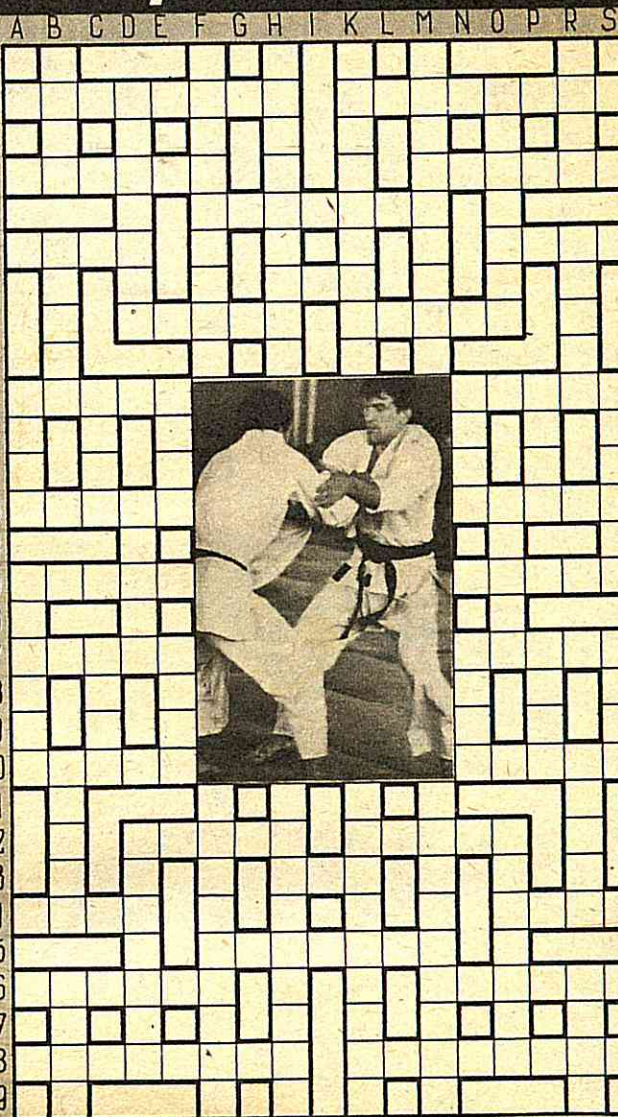
Frysz w roli główniej

Tylko jeden nokaut miał miejsce podczas otwartych mistrzostw świata w kick-boxingu, rozegranych z udziałem zawodowców w Londynie. Utrwalił ten moment fotoreporter Silvio Dokov, a nieszczęsnego delikwenta wyliczył sędzia główny walk finałowych, Polak, Marek Frysz, który w ciągu jednej imprezy stał się jedną z bardziej popularnych postaci wśród uczestników championatu.



Zdjęcia w rubryce: KAZIMIERZ LASKOWICZ, PIOTR OLSZEWSKI, MAJA SOKOŁOWSKA – MICHALSKA

Krzyżówka nr 2



POZIOMO: 2-A) imię finałowego rywala A. Zajkowskiego na IO w Monachium, 2-sąsiadka Libii, 4-A) złoty judoka z IO '72, 4-M) słynny radziecki judoka, 5-F) przepływ przez miasto IO w 1924 r., 6-A) sierp używany w jednej z walk Wschodu, 6-L) sportowcy z Gdyni, 7-H) dziesięć dziesiątek, 8-D) imię słynnego mistrza walki wrę z Okinawy, 8-K) zasłona bokserska, 10-A) czołowy karateka CSRS, 10-N) drapieżny kuzyn psa, 13-A) najlepszy polski judoka w latach 1965-1968, 13-N) jeden z mistrzów karate w stylu Shotokan, 15-A) jeden ze stylów Nei Chia w kung-fu, 15-N) imię twórcy aikido, 17-A) nasz reprezentacyjny skoczek narciarski, 17-N) zwarty obszar górski, 20-A) ułożenie pięści w kung-fu, 20-N) okres w dziejach Japonii, 22-reprezentacyjny kolarz CSRS w XXXVIII Wyścigu Pokoju, 22-K) jeden z warszawskich klubów sportowych, 23-H) marynarski trunek, 24-A) pięściarstwo, 24-czechosłowacki rywal Piotra Fijasa, 25-F) chilijskie „złoto”, 26-A) styl zbliżony do ju-jitsu, 26-M) jeden z mistrzów karate w stylu Shotokan, 28-A) nasz reprezentacyjny zapaśnik, 28-K) kres życia samuraja.

PIONOWO: A-10) drobnutki węgiel, A-15) arena ciężarowców, B-1) sala do ćwiczeń kendo, B-6) imię założyciela szkoły Yagyu-ryu, B-20) mistrz w karate z Shuri-te, B-2 klubowy partner A. Zguczyńskiego, C-10) jeden z następców Bruce'a Lee, C-7) paryski Ermitaż, D-2) słynny mistrz karate w stylu Shotokan, D-13) górzysta część Okinawy, w której wychował się Funakoshi, D-22) jeden z największych mistrzów yari-jitsu, E-10) istotna przy zadawaniu ciosów w karate, E-17) w kanadyjskim god F-1) chroni przed deszczem lub słońcem, F-21) bojowa forma taekwondo, H) twórca współczesnego karate, H-21) niezgodność obrazu widzianego z obrazem fotografowanym, K-1) hinduskie kung-fu, K-21) trening z mieczem w ken-jitsu, M) mistrz karate z Shito-ryu, M-21) jeden z największych mistrzów w ken-jitsu, N-7) domena Mariana Talaja, N-17) miejsce zmagania judoków, O-2) stan zachwy uniesienia, O-13) narzędzie rolnicze, O-22) nasz reprezentacyjny płotkarz, P-7) starożytna metropolia Japonii, P-17) mistrz sztuki kung-fu, R-1) Boniek dla Włochów, R-6) współczesna sztuka posługiwania się lukiem, R-20) były klubowy partner Kmiećka i Kapki, R-26) splot trawy z ziemią, S-10) mistrz karate w stylu Shotokan, S-17) reprezentował nas w skokach narciarskich na IO w Innsbrucku.

Po rozwiązaniu krzyżówki należy odczytać szyfr:
(22-O, 11-N, 10-A, 16-A) (20-E, 2-K, 10-N, 17-P, 23-R, 28-B, 26-O, 4-O, 7-O, 17-R, 4 (22-M, 24-O, 6-F, 14-O, 10-S, 5-G, 17-N) (5-I, 27-R, 2-P, 13-N, 28-F, 24-B, 17-S, 28 17-A) (3-B, 13-E, 1-F, 18-A, 10-P, 2-R, 26-B)

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 30 dni od daty ukazania numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce „Kryżów nr 2”. Do rozlosowania sprzęt sportowy.

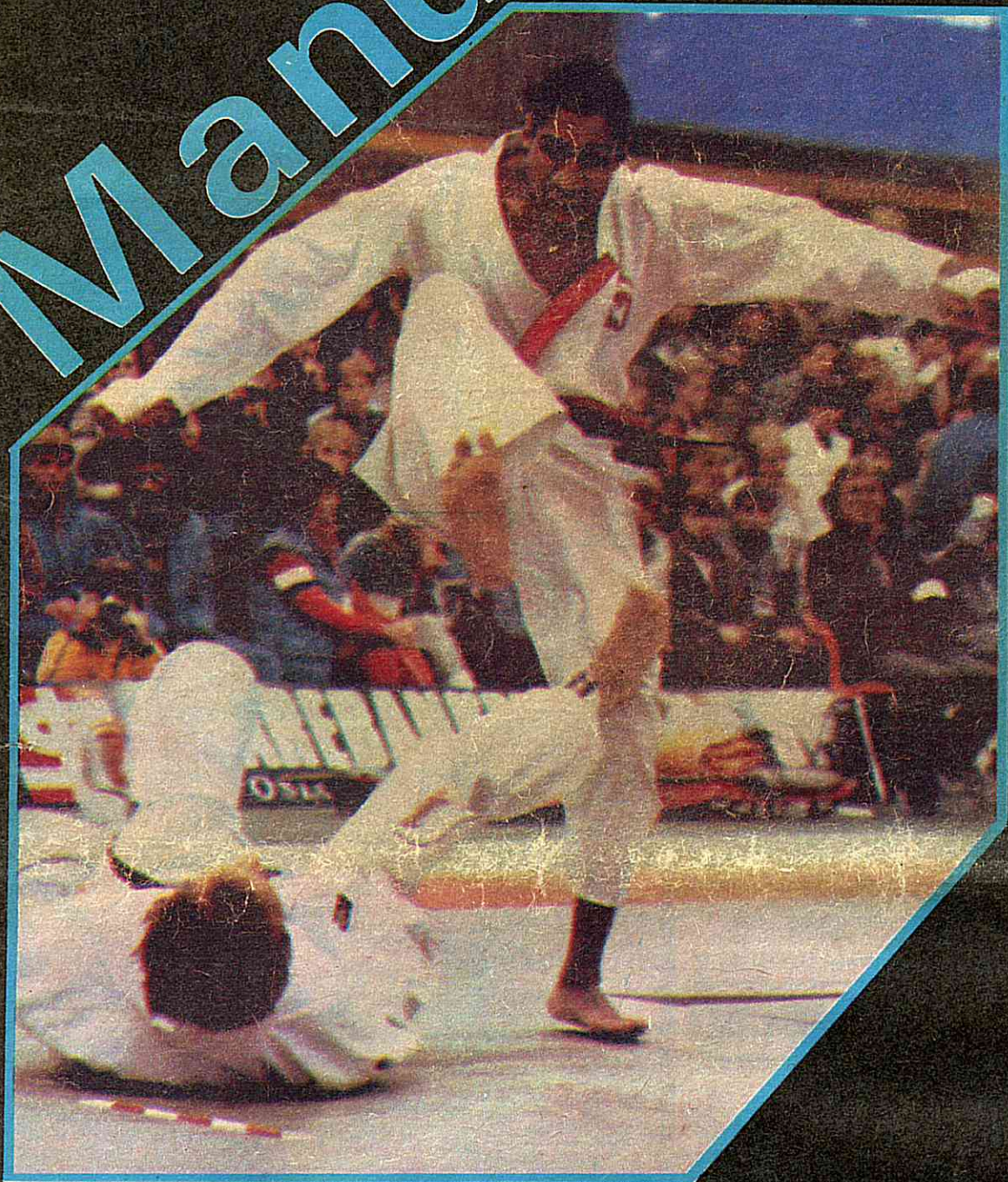
ANDRZEJ NOWAKOWSKI

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 1

HASŁO: Antoni Zajkowski medalista IO w judo.
POZIOMO: Uyeshiba, organizm, Shogun, Saburo, Hawajka, Nike, Tode, net, tre, strak, kokos, demon, Erato, Talaj, ring, Lech, Itosu, Plinda, Oyama, czako, mia, Ilona, cis, udar, amok, Tretiak, Oshima, Tlatka, Rafalski, Marzanna.
PIONOWO: Korea, Kioto, Zych, iaido, Ystad, Stal, kata, Odra, segment, ter, Martina, sumo, Unia, tienhsuen, Masutatsu, taekwondo, naczelnik, Tosojit, Nishiyama, Ogasahara, kolektura, dukt, plac, nabytek, atemi, Akayama, miał, Na, czar, Daito, kendo, Kano, Nin-ja, sambo.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 1 „Budo” nagrody wylosowali: Reginusz Sikorski, ul. Dąbrowskiego 7/6, 67-100 Nowa Sól; Grzegorz Rajnert, Strzelczyka 19 m 44, 93-192 Łódź; Jolanta Burzec, Zołowno 79, 21-222 Podedwój woj. Białą Podlaską.

Manu



OSLO.

W sportowej hali Alstad-seather dobiegają końca XX Mistrzostwa Europy seniorów w karate. Spiker anonsuje finał w kategorii OPEN. Emanuel Pinda (Francja) – Peter Sailsman (Anglia). Publiczność ma swego faworyta. Cztery tysiące gardel skanduje jedno imię – Manu. Zago-rzały kibic trójkolorowych, francuski aktor Jean Paul Belmondo szaleje na trybunach, macha zdjętą marynarką...

Mistrz świata nie spotkał się nigdy z tym Brytyjczykiem. Uważnie jednak śledził jego drogę do finału i teraz wie, na co go stać.

Sailsman szybko kontratakuje. Ucieka z pola walki, podcina, skutecznie blokuje. Gubi się jednak w kombinacjach ręcznych technik. Francuz trafia „mawashi-geri” w głowę. Dokładnie tym samym odpowiada Anglik. Manu dwukrotnie punktuje „kizami-zuki”, ale Sailsman rewanżuje się w ten sam sposób. Teraz Pinda zmienia taktykę. Zwalnia tempo akcji. Żle wymierzone „mawashi-geri” Brytyjczyka, wykorzystuje w kontrataku Francuz. Lewą ręką blokuje, a prawą nogą klasycznie podcina. Nikt tak nie potrafi tego wykonać jak on. Ciało Sails-

mana ładuje miękko na macie. Wystarczyła chwila nieuwagi, aby Francuz wykorzystał szansę zwycięstwa. Wygrał 6:4.

Chóralne: Manu, Manu! przeplatają gło-sne brawa i dźwięk piszczałek. Czyje ręce wyrzucają go wysoko w górę. Koledzy z drużyny gratulują, całują. Są wdzięczni, że pomścili ich porażkę w KUMITE drużynowym. Przegrali właśnie z Anglikami. Ale teraz to nie jest już ważne. Mają swego mistrza. To się liczy.

Wzrok trenera F. Didiera zatrzymał się na twarzy mierzącego blisko 188 cm wzrostu

ciemnoskórego Antylijczyka. Emanuel Pinda. Kręcone, krótkie włosy, czarne smugawe oczy i kilkunastocentymetrowy zarost dodają uroku. Mógłby na kinowym ekranie z powodzeniem rywalizować z J. Crammerem, głównym odtwórcą roli „Czarnego Orsa”, bo podobieństwo jest znaczne. Pinda gdzie zazwyczaj długich nóg, rąk, szybki, talentu, inteligencji. Fenomenalny karateka francuski właściwie ma wszystko, jest potrzebne do zadzierania nosa. Każdy kto się z nim bezpośrednio zetknie nie może wyjść z podziwu, że jest taki młody i skromny.

Urodził się dziesiątego maja 1961 roku w mieście Haarlem na Antylach holenderskich. Jego matka Cothsel była nauczycielką muzyki, ojciec Piere, prawnikiem. Wielu lat pracuje w ambasadzie holenderskiej w Paryżu. To on, po przyjeździe rodziny do Francji zaprowadził syna do sali gimnastycznej, gdzie ćwiczyli karatecy.

Ojciec miał ogromną intuicję. Dostrzegł spore umiejętności ruchowe chłopca i oddał w ręce samego Guya Sauvina (5 Dama) obecnego dyrektora technicznego Europejskiej Unii Organizacji Karate. Dwa lata później, jako czternastolatek Manu otrzymał nagrodę dla najlepszego juniora klubu Maisons Laiffite, któremu wierny został do dziś.

– Sauvinowi zawdzięczał wszystko. On wprowadził mnie w tajniki treningu taekwondo, kung-fu i karate. Umotywiował moje miejsce na tatami, do którego miałem początkowo przekonania. Z biegiem lat stał się stałym doradcą i mistrzem, który był ze mną na wszystkich zawodach.

Emanuel, nazywany w najbliższym otoczeniu pieszczotliwie Manu, wygrywał wszystko, co było do wygrania. Myślał, jego przeznaczeniem będzie kung-fu albo taekwondo. Utwierdziły go w tym przekonaniu sukcesy na mistrzostwach juniorów Francji, gdzie dwukrotnie zdobył mistrzostwo kung-fu (1976, 1977). W kolejnych dwóch latach powtórzył ten sukces podczas mistrzostw Europy juniorów w... taekwondo!

– Jeśli siedemnastolatek wygrywa tak zawody, to musi mieć w sobie coś wielkiego – powiedział Guy Sauvin. – Po takim właśnie sukcesie osiągniętym przez Pindę w Madrycie i Oslo utwierdziłem się w przekonaniu, aby skoncentrować się głównie na karate. Taekwondo i kung-fu dostarczyły mu dobrych podstaw. Pora więc zacząć trenować karate. Poważnie...

Pinda ćwiczył codziennie po dwie godziny. Dłużej nie mógł. Za rok czekała go matura. Myślał też poważnie o Akademii Wychowania Fizycznego.

– Twoje „mawashi-geri” jest za wolne i zbyt niskie. Niepotrzebnie sygnalizujesz ataki! Musisz miękko poruszać się na tatami. – Słyszał ciągle od Sauvina. – Zmienił położenie ciała wobec przeciwnika. To nie on, ale ty musisz dyktować warunki walki.

sportowiec
budo²

wydanie specjalne magazynu ilustrowanego SPORTOWIEC

00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 24 skr. poczt. 255 tel. 21-49-79

Redaktor Naczelny – JACEK ŻEMANTOWSKI. Sekretarze „BUDO” – Jacek Korczak-Mleczko, Marek Stefaniak, Jan Trawiński. Opracowanie graficzne – Maria Kowalewska, Stanisław Siwek. Redakcja Techniczna – Krystyna Herman, Danuta Pracka. Rada merytoryczna: – Marian Butrym, Janusz Pawluk, Waldemar Sikorski, Paweł Rafalski. Druk: Dom Słowa Polskiego, Warszawa, ul. Miedziana 11. Dyrektor – Bohdan Kukliński. Wydawca: Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Al. Stanów Zjednoczonych 53, dyr. Zygmunt Konopka.



Zam. 744/CD. Nakł. 80 000 egz. P-57